

8075/83

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

N E R W Y

N O W E L E



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

1/4/11

LP 4d

447876,

Drukarnia i Litografia
„JAN COTTY”
w Warszawie, Kapucyńska 7.

k. 83/8075
21.4 1301



1930

N E R W Y

Maszyny startowały w kolejnym porządku numerów.

„Aquila“ miała jedno z dalszych miejsc i musiała czekać na sygnał odjazdu jeszcze najmniej kwadrans, ale O'Connora trzęsła febra.

Właśnie nie trema żadna, którąby można, w ostateczności, zagłuszyć potężną dawką Coli — tylko typowa, zgniła, ohydna febra!

Chociaż miał wóz przygotowany do wyścigu nadzwyczajnie, truchlał.

Zrobił wprawdzie, wraz ze swoim niezawodnym mechanikiem, Karstenem, całą trasę; sprawdził, niedalej niż wczoraj, działanie kapitalnych hamulców, wyciągając na najtrudniejszych wirażach zawrotne chyżości; nauczył się terenu poprostu napamięć, tak, że mógłby, na dobrą sprawę, pilotować samochód prawie z zawiązanymi oczyma...

A mimo to trząśł się poprostu, ocierał ukrad-

kiem czoło, zroszone zimnym potem, i oddychał z trudem, jak człowiek obłożnie chory.

„Aquila“ stała w trzecim szeregu maszyn, w cieniu centralnej trybuny, na swoim startowym miejscu Nr. 29, podobna do dużej, białej, lśniącej zabawki. Do uszu O'Connora powinny były docierać rozgwary tłumów, strzępy rozmów, prowadzonych w łóżach, okrzyki i wesołe śmiechy kobiet. Nie słyszał jednak nic. Miał w uszach równy, głuchy szum. W sercu — próżnię. Wzdrygał się od czasu do czasu, przytomniejąc na sekundę — i wówczas łowił słuchem wściekle perkusje gazów, warkoty zapuszczanych motorów, denerwujące echa odjazdów.

Spoglądał z dzikim lękiem na zakapturzonych spółzawodników, oczekujących komendy — a w chwili, gdy padało magiczne, ostre słowo:

— Partez!

(kategoryczne i nieodwołalne, jak stuk gilotyny) — i gdy stopper markował 30-sekundowy odstęp czasu — doznawał panicznego wstrząsu.

Ruszali jeden po drugim najślawniejsi automobiliści.

Asy całej kuli ziemskiej, wirtuozi kierowcy, stanęli do tego karkołomnego turnieju, w którym chodziło o taki drobniaczek! O taki

drobiazg: pobicie rekordu toru, ustanowionego przed laty — i przejechanie owych słynnych serpentyn, wraz z 33-ma wirażami, składającymi się na niesamowity „bukiet“ Corniche'y — w skąpym czasie jednej godziny!

Słynny Barros zdołał przelecieć przez ten wściekły labirynt w 60 minut z ułamkiem sekundy, okrywając sławą siebie — i swoją markę. A już w następnym roku, usiłując osiągnąć czas jeszcze lepszy, wyleciał z bandy, zrulował, razem z maszyną, jak śmiertelnie zraniona zwierzyna — przeokołkował się kilka razy, ściał drzewo przy drodze — i zginął pod gruzami swojego wozu.

Odtąd tor pochłaniał rok-rocznie jakąś nową ofiarę...

W 1925-ym zginął tutaj, w najgłupszy w świecie sposób, niezwykle utalentowany Orlando, poślizgnąwszy się na 11-ym kilometrze, przed wielkim wirażem.

W 1926-ym zabili się, na tym samym 11-ym kilometrze, Schwarz i Braunbacher, doskonali Niemcy.

W 1927-ym połamali maszyny (i nogi!) trzech przedstawiciele trzech automobilowych potencji: Francuz Dubois, Włoch Sciarra, Amerykanin Samson.

Wreszcie, w ostatnim sezonie, uległ śmiertelnemu wypadkowi młodziutki hrabia Andrassy, wschodząca gwiazda węgierskiego Klubu...

— Corniche'a szczyrzyła zęby.

*

Poszły, brzęczące jak trzmiele, małe, bystre Bugatti. Potem śpiewne Alfa - Romeo, szybkie, jak wichur. Potem team mrukliwych Sunbeamów, huczący na krzywiznach, niczem burza. Dalej, w hierarchicznym porządku litrażu, trzy wyścigowe, wspaniałe Austro-Daimlery. I Mercedesy-Benz'e dwa, dławiące się nadmiarem skomprymowanej energii...

Łomoty zapalanych motorów, akceleracje rytmów, strzały sprężonych gazów, benzynowe synkopy, odbrzmiwające wśród ogromnego, betonowego teatru, pławiącego się w południowym słońcu — wszystko to biło w skronie O'Connora, jak ciosy miażdżących pięści. Tyle wyścigów miał już za sobą, tyle wziął nagród, z tylu katastrof wyszedł cało — a mimo to trząsł się, jak liść. Gdyby nie nadludzki wprost wysiłek woli, który go przygwaźdżał na miejscu, uciekłby stąd, nie oglądając się za siebie. Uciekłby jak najdalej od tego nowoczesnego Colosseum, w którym opa-

leni, bronzowi gladiatorzy stawiali na jedną kartę — życie, niepomni, że najmniejszy błąd, najmniejsze niedopatrzenie, najmniejsze zepsucie się mechanizmu — może spowodować wypadek.

- Trochę oliwy, ściekającej z osi...
- Defekt koła...
- Jakaś niedokładność kierownicy...
- Pęknięcie najmniejszej rurki...
- Zatarcie się dysku...
- Rozluźnienie hamulca...

*

Pomocnik O'Connora, Karsten, nic sobie z tego wszystkiego nie robił.

Nie widział (albo udawał, że nie widzi) pożałowania godnego stanu, w jakim się znajdował jego szef.

Stał, szeroko rozkraczony, o parę kroków od O'Connora, z nieodłączną fajeczką w zębach, z łapami w nabrzusznych kieszeniach szaro-zielonych, nowiutkich combinaisons — i śmiał się do jakiejś piersiastej, jaskrawo ubranej dziewczki, pokazującej za barjerą całe nogi.

Musieli się znać bliżej, bo mrugali na siebie porozumiewawczo.

O'Connor odwrócił się ze wstrętem od tej

pary. Pomyślał w tej chwili, że jest sam, piekielnie sam — że Karsten jest antypatyczny — że niczem nie usprawiedliwia pokładanego w nim zaufania — że przez takiego mechanika wypadnie (nie dziś, to jutro) kark skrócić.

Poczuł zimno w okolicy krzyża — i oparł się ciężko o niską, wydłużoną karoserję przedziwnie opancerzonej „Aquila”.

Wydało mu się, że jakaś ciemna chmura przesłoniła ognistą, pyszną kulę słoneczną, zwiastując nawałnicę. Oczywiście, było to przywidzenie.

Cały dziwnie zwioteczały, bezsilny, zastygł teraz obok swej ukochanej maszyny, nie wiedząc o tem, że setki lornetek, że tysiące oczu wpatrują się weń, że właśnie na jego numer startowy — 29! — kieruje się skoncentrowany ogień spojrzeń, że jest od początku głównym bohaterem eposu, mającego się niebawem rozegrać — i że centralna trybuna, inkrustowana pięknymi kobietami, jak olbrzymi, bezcenny wachlarz — szeleści trzema sylabami:

— O-Con-nor... O-Con-nor... O-Con-nor!

Dyskretnie. Półgłosem. Tam, gdzie grają kreacje Drécolla, Wortha, sióstr Boué, Patou...

Głośniej, na tańszych miejscach. Tam, gdzie kołysze się 10,000 głów...

Najgłośniej. Na galerjach! Gdzie po morzu sportowych czapek i słomianych Windhorstów raz po razie przebiegają elektryczne dreszcze zapachu...

— O-Con-nor! O-Con-nor! O-Con-nor!

Wystartował, wyrzucając cały kłęb dymu z wydmuchu, najgroźniejszy konkurent „Aquila“, stalowo-szary Pull, z masywnym, brązowym jak miedź, Malcolmem przy sterze, triumfATOREM Alp. Musiało być coś istotnie w tajemniczym silniku tego wozu, bo biała 25-ka, wymalowana na odwołoku, zaświeciła, jak błyskawica, i znikła w okamgnieniu na pierwszym zakręcie toru.

Błyskawiczność tego odjazdu wywołała na trybunach poruszenie. Sprawdziła się fama, poprzedzająca tegoroczny debiut Malcolma. Niedarmo rulowała już od pewnego czasu wieść, że O'Connor, mistrz nad mistrze, da radę Malcolmowi pod jednym warunkiem: jeżeli pojedzie heroicznie!

„Aquila“ mogła być cudowną maszyną, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nieznany nikomu bliżej nowy kompresor Pulla, którego

sekretu strzeżono zazdrośniej od tajemnicy stanu, pozwala 25-ce na fantastyczne zwiększenie szybkości.

Effekt pierwszego skoku zaobserwowano przed chwilą.

*

O'Connor obejrzał się bezradnie, jak dziecko: ruszał za półtorej minuty.

Tłum, falujący nad nim, daleki huk pędzących maszyn (miały przejść jeszcze raz przed trybunami, przed wpleceniem się w puśliska Corniche'y...) nieznośny blask kuli słonecznej (raptem znów widzialnej), wyniesiona banda najbliższego wirażu — hipnotyzowały go katastrofalnie. Chciał zrobić ruch, żeby wślizgnąć się na swoje miejsce — i nie mógł. Usiłował bokiem, niezgrabnie, wsunąć się na skórzaną poduszkę kierowcy — i czuł, że mu mięśnie odmawiają posłuszeństwa...

W tej samej chwili jednak usłyszał za sobą spokojny głos Karstena.

— Ready?

Oprzytomniał!

Mechanik wytrząsał popiół z fajki i uśmiechał się wesoło.

— Wiem, jak Pan dziś pojedzie.

O'Connor znalazł się przy kierownicy. Jednym susem. Zapytał przez zęby:

— Jak pojedę?

— Nadzwyczajnie!

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się Pan tak piekielnie bał!

— ?

— Przed Targa Fiorio wyglądał Pan, jak nieszczęście, a potem wszyscy się żegnali krzyżem świętym...

— Nie pleć głupstw, Karsten!

— Takiej cykorji, jak dziś, nie miał Pan jeszcze nigdy! Będzie zabawa!

— Po wyścigu powiem Ci coś do słuchu, idjoto. O ile Pan Bóg pozwoli dożyć.

— Pozwoli! — Niech Pan uważa: n a s z start!

— Uważam!

Starter i chronometrażyści szli już w ich stronę wielkim krokiem.

— Attention!

„Aquila“ zaczęła się wstrząsać szalonymi dreszczami. Karsten szybko obchodził potężny radjator — — —

— Un... deux... trois...

Karsten wślizgnął się z tyłu, zwinny jak węgorz — i plasnął na poduszce, obok O'Connora, jednocześnie z komendą:

— Partez!

(Przed samym startem O'Connor spojrzał ku trybunom. Rozpoznał w tłumie Jej oczy fiołkowe, wpatrzone w niego uporczywie. A wyczytał w nich wyraz strasznego niepokoju. Serce mu drgnęło...)

*

O ile start Pulla miał w sobie coś z cyklonu — uderzył wszystkich start białej „Aquil” niezwykłym, nadprzyrodzonym wprost — spokojem.

Bo O'Connor odzyskał nagle spokój — i udzielił go swojej maszynie.

Po tem, jak zaambalował, po tem, jak przerzucił biegi (nie drgnąwszy nawet przy kierow-nicy!), po tem, jak śmignął przed altaną sędziowską, czyniąc w niej rumor podziwu — poznano gracza!

Na twarzy O'Connora, podobnej przed chwilą do twarzy człowieka, dręczonego przez furję, rozlał się pogodny uśmiech. Rozpromienił się cały. Rozjaśnił. Ręce, takie słabe niedawno i bezwolne, nabrały stalowej mocy i przedziwnej chwytno-

ści. Barki, lekko przygarbione za kierownicą, stę-
żały w spiżowy blok. Tylko siwe, sokole oczy, prze-
zierające przez szczelinę zmrużonych powiek (nie
uznawał okularów!), i zaciśnięte mocno usta —
tylko ostry, suchy profil, jeszcze ostrzejszy, niż
zwykle, i jeszcze suchszy — zdradzały, że p o d
tym uśmiechem kipi energja i uwaga, napięta jak
łuk!

„Aquila“ weszła na pierwszy wiraż bez zbyt-
niego impetu, trochę, jak się zdawało, za wysoko,
tak, że mrowie głów, przyklejonych do parapetu,
cofnęło się kurczowo, w odruchu komicznego prze-
rażenia: O'Connor mijał ich o skąpy metr.

Ale, znalazłszy się w sercu wirażu i na naj-
wyższem jego „piętrze“ — uśmiechnięty człowiek
o zmrużonych powiekach uczynił nieoczekiwane
podwójny ruch, stopą nacisnął gaz, aż do trzewi
maszyny — a ręką dotknął awansu, staczając
jednocześnie wóz pod lewą, wewnętrzną bandę —
na łeb, na szyję!

Teraz, z kolei, zawrzało po drugiej stronie
toru. Widzowie wewnątrz stadjonu rzucili się
wstecz, jak odpływająca gwałtownie fala: „Aqui-
la“ osmaliła im twarze!

Gruchnął ogromny gwar podniecenia, jak
jedno westchnienie ulgi...

Karsten zwrócił głowę w stronę O'Connora:
— All right!

Poczem zaśmiał się szeroko, od ucha do ucha, wsunął jeszcze wygodniej pod aluminiowy płaszcz „Aquila”: nie miał tymczasem nic do roboty!

Wskaźówka tachometru dotykała pierwszej czerwonej podziałki z cyferką: 120.

„Aquila“ nabierała t e m p a.

*

Minęli dwa Talboty, potem dwie Bugatti, które były wyszły najwcześniej, ale czegoś zamarużyły w drodze. Minęli z kolei wszystkie Alfa-Romeo, dnia tego nietego prowadzone — i Sun-beamy, czegoś rozleniwione, i Austro-Daimlery, i Fiaty, i Mercedes-Benz'e...

Stadjon pozostał dawno poza niemi, wraz z kołyszącym się morzem ludzkich głów: przed niemi uciekało już tylko kilka maszyn, połykających serpentyny.

Maruderzy — i groźny, stalowo-szary Pull...

*

O'Connor wiedział dobrze, że nie dogoni Malcolma łatwo. Nie przypuszczał jednak, że spółzawodnik, który zaczął wyścig zaledwie o parę mi-

nut wcześniej, zdystansuje wszystkie wozy i będzie miał przed sobą wolny gościniec bez denerwujących outsiderów — i kurzu.

Na klęskowym 11-ym kilometrze, wsławionym tyloma wypadkami, zdarzyło się wprawdzie coś, co mogło być poczytywane za zły omen: mały, ostry kamień, napozór niewinny, prasnął o karoserję „Aquila“, uderzył, z siłą kuli rewolwerowej, o kant aluminiowego płaszcza i miał jeszcze tyle siły, że rozdarł, z rykoszetu, czoło O'Connora...

Karsten przybladł lekko, widząc pasemko krwi, i uczynił mimowolny ruch — ale O'Connor syknął tylko przez zaciśnięte usta:

— Zaschnie! — i dał potężnie gazu, nie dbając o to, że czerwone krople kapią gęsto na rzęsy prawego oka.

Widział przecież lewem!

Nic a nic nie zwolnił tempa, żeby zabandażować ranę: nie miał czasu. Przeciwnie. Postanowił, o ile się da, zahamować upływ krwi pędem powietrza. Jakoż, po paru minutach, czerniawe pasemko zastygło wskos czoła — a przykrą lepkość skrzepu starła z powieki O'Connora ręka Karstena, delikatna, jak ręka kobieca...

Mechanik sięgnął potem po oliwiarękę, zanu-

rzył ją w ciemnej czeluści maszyny, dotknął napamięć jednego i drugiego otworu, jednym rzutem oka skontrolował wszystkie zegary — i rzucał w stronę szefa krótkie:

— Rzeczywiście, zaschło.

Mogło się to odnosić równie dobrze do krwi, jak i do oliwy. Ale O'Connor zrozumiał, co Karsten miał na myśli. Pochwycił jego spojrzenie, pełne admiracji. Uśmiechnął się zlekka. I wziął najbliższy wiraż z takim impetem, że „Aquilę“ aż zamiotło...

Karsten nachylił się do ucha kierowcy:

— Malcolm zma-ru-dził tu-taj pew-nie parę sekund!

O'Connor uśmiechnął się ponownie, ale wnet spoważniał: Malcolma nie było widać...

*

Po pół godzinie szalonego wyścigu, zapierającego dech w piersi, sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że „Aquila“ minęła już wszystkich rywali — prócz Pulla, pod sterem przekłętego Malcolma. Malcolm szedł pierwszy!

O'Connor wiedział dobrze, że może i tak wyścig wygrać, bo ma na swoją korzyść różnicę czasów startowych. Nie lubił jednak gry na ciemno,

tem bardziej w danym wypadku, gdy o konkurencie wiedział to tylko, że go wyprzedza.

— Ale o ile minut?

Prowadził maszynę w tempie wściekłem, wydobywając z motoru maximum tur dozwolonych. „Aquila“ huczała, jak organy...

Nic nie mówiło jednak, że Pull znajduje się blisko. Żaden warkocz kurzu nie włókł się po szosie. Ani, tem bardziej, niesposób było pochwycić gonu tamtego słuchem.

Sprawa przedstawiała się coraz bardziej zagadkowo — i coraz bardziej niepokojąco.

O'Connor czuł wciąż na sobie nieodporną moc fiołkowych oczu, które pchały go naprzód, ku sząco wabiły ku szalonemu finiszowi.

*

U schyłku trzeciego kwadransu, połknąwszy szereg piekielnie trudnych skrętów, między innymi długą, stromą serpentynę, trudniejszą od innych, O'Connor zrozumiał, że przegrywa.

Półmetek miał dawno za sobą. Wiedział, że pobije czas Barrosa i zrobi znakomity wyścig — ale wiedział także, że jest ktoś inny, kto trzyma chyba z djabłem! — i że ten ktoś jest wciąż jednakowo nieuchwytny, jednakowo daleki. Ściągnął

brwi. Oczy jego zaczęły ciskać złe błyskawice. Poprawił się na siedzeniu...

— Karsten!

— Hallo?

— Jedziemy — za — wolno!

— Prędzej — nie — możemy!

— Musimy!

— Mamy — przeciętnie — wciąż — 150!

— Mało.

Mechanik spojrzał na stopper.

— Pobijemy — rekord — Barrosa!

— Ale — nie — pobijemy — Malcolma!

— Kto — wie? Jeżeli — będziemy — mieli — różnicę — czasu — poniżej — 2-ch minut...

— Muszę — go — dogonić — za — wszelką — cenę!

— Boję — się — o — hamulce: zanađto — się — grzeją...

— Co — będzie, to — będzie!

Mieli teraz przed sobą parę kilometrów prostej. O'Connor przywarł do kierownicy. Wskazówka zaczęła się posuwać zwolna na prawo... 160... 170... 180...

Pęd porывał słowa. Mimo to, porozumiewali się urywanemi zdaniami...

— Za — tym — wirażem. —

— Będzie drugi — wiem!

— Pod — mostkiem. —

— Wiem, wiem!

— Z prawej — Pan pamięta...

— Żle — podsypane, — pamiętam!

„Aquila“ wpadła na zakręt całym pędem, choć biały szlak szosowy łamał się tu prawie pod prostym kątem. Wóz szarpnęło gwałtownie. Zdało się, że kapotuje. Na spotkanie ich leciał już mostek, utkany głowami ludzkimi, jak makówkami. Powiewano kapeluszami... Przelecieli pod nim, jak huragan.

— Karsten!

— Hallo!

— Jaki — mamy — czas?

— Wspa-nia-ły! Pięć-dzie-siąt! Za — pięć — minut — będziemy — przed — try-bu-na-mi!

— Przekleństwo!!!

Karsten spoważniał i przybladł. Zrozumiał, że O'Connor chce, mimo wszystko, dogonić niewidzialnego Malcolma...

*

Gdy wpadli na następny, długi wiraż, zobaczyli znienacka trybuny — i krzyknęli, obaj jednocześnie! Krzyknęli jednak nie dlatego, że zoba-

czyli stadjon i tysiączne tłumy, od których ich oddzielała teraz ostatnia, decydująca prosta — tylko dlatego, że tuż przed nimi, nie dalej, niż o jakieś 100 metrów, kłębił się nisko gęsty ogon kurzu — znaczący drogę Malcolma!

Wszystko zależało teraz od tego, czy Pull, którego najoczywiściej doganiali, spostrzeże ich wporę i zdoła wyzyskać czarną magję swoich bezkonkurencyjnych kompresorów—czy też, pewny triumfu, będzie finiszować na tych kilku kilometrach z komfortem, bezpiecznie, nie forsując motoru?

O'Connor wiedział już, że wygrał. Nie mogło być mowy o różnicy minut: mogła być najwyżej mowa o różnicy sekund. A sekundy były przecież jego sprzymierzeńcem!

Niemniej pokazał zęby w nagłym, wilczym błysku. Człowiek, prowadzący „Aquilę“ do zwycięstwa, zapomniał o człowieku, który, niecałą godzinę temu, dygotał febrycznie na starcie...

Zaczął akcelerować..:

*

„Aquila“, biała, lśniąca zabawka, pokazała teraz, co umie. Hucząc, jak pocisk armatni, runęła z ostatniej krzywej; metr po metrze, pochłone-

ła przestrzeń, dzielącą ją od 25-ki — i zrównała się z huczącym wściekle Pullem, akurat przed trybunami.

Zdawało się w ostatniej chwili, że Malcolm wydusi ze swego smoka jakiś ukryty zasób siły. Widocznie mu jednak nerwy nie dopisały. A może nie mógł sprostać piekielnej brawurze tamtego?

O'Connor, wspaniały, jak grecki bóg, minął stalowo-szarą maszynę piekielnym finiszem i zakończył wyścig pierwszy, o jakieś dwie sekundy przed Malcolmem, szarym, jak jego wóz, i drżącym z wyczerpania.

Grzmot oklasków przetoczył się od łóż parterowych do szczytu trybuny.

„Aquila“ hamowała gwałtownie, oznajmiając swe zwycięstwo ogłuszającą kanonadą wybuchów, donośnych, jak salwy.

Potem, . zatoczywszy krótki łuk, podjechała zwolna na start—i zastygła na swoim numerze 29.

O'Connora i Karstena porwano na ręce. Pół setki kinooperatorów zaczęło kręcić korbami. Z łóż zaczęły się sypać kwiaty...

I triumfalny pochód ruszył ku świątyni sędziów, podczas gdy druty telefoniczne i mikrofony radjowe rozpoczęły swą pracę:

— Allo! Allo! — W wielkim automobii-
lowym wyścigu Corniche'y I-szy O' Connor
na „Aquila“. — Czas o 5 minut 20,5 sekundy
lepszy od rekordu Barrosa. — Przeciętna
szybkość zwycięzcy 165 klm./g. — O'Connor
zadziwiał idealnym spokojem i zimną krwią.
— Mechanik Karsten rozplakał się z rado-
ści — Allo! Drugi Malcolm na Pullu — Czas
o 2 minuty 2 sekundy gorszy od czasu zwy-
cięzcy. — Pozostałe maszyny dochodzą —
Allo! Wycofali się podczas wyścigu...

O'Connor pobiegł wzrokiem ku trybunom.
Odszukał Jej oczy. Zamiast niepokoju ujrzał
w nich teraz niepohamowany żar radości.

HER MASTER'S VOICE

I.

Drzewko perskiego bzu, rosnące pod oknem salonu, było wtedy małe — i Lena była wtedy mała, maleńka.

Z początku drzewko rośło prędzej od Leny. Kiedy dziewczynka stawiała na rabacie i wspinała się na paluszkach, żeby powąchać wonne, wiosenne baze — baze uciekały wgórę. Ale po kilku latach Lena zaczęła dopędzać bez perski. A później przerosła go nawet. Śliczna sztama, okrywająca się rok rocznie uroczemi kiśćmi, dosięgła parterowego parapetu i nie poszła już wyżej. A złota głowa Leny wybijała wyżej. Ponad wspomniany parapet, i ponad drzewko ulubionego bzu. Lena przestała być dziewczynką. Stała się — panną.

Stać się panną, znaczy: stracić z oczu, raz na zawsze, dawny świat — i zobaczyć świat nowy. Inny.

Naprzykład, zapomnieć o starych, parkowych drzewach, okalających dwór, jak zielona chmura; zobaczyć, natomiast, dal drogi, otwierającą się tuż za bramą, i zakochać się w tej dali...

Albo inaczej: przestać się bać mroków parnego wieczora, kiedy stuletnie lipy i kasztany szeleszczą niespokojnie. Zacząć się zato bać ludzi...

Biec na spotkanie czarnych, burzowych zwałów, idących skądciś niebem, z niepokojącym turkotem; biec śmiało, wciągając burzę w płuca. Ale uciekać, w panicznym przestachu, przed gośćmi, oznajmiającymi się chrzęstem żwiru w głównej alei.

I jeszcze: oderwać się od tysiąca przyzwyczajęń, od tysiąca spraw, zrośniętych nierozwalnie ze starem gniazdem. Poczuć zato, w tej samej godzinie, że zawiązują się nowe węzły, inne, ale niemniej mocne.

— Jakież to węzły?

A ot, chociażby, nieoczekiwany węzeł przyjaźni, łączącej panięńskie serce z osobą nieznajomej, dalekiej m i s s, która pierwsza, sama jedna, przybyła wpływ burzliwy La Manche...

A ot, kiedy indziej, inny węzeł, wiążący serce z osobą jakiegoś tam wczoraj nieznanego skrzyp-

ka, który w radju melodje wygrywał ogniste i tragiczne hiszpańskie...

Kiedy indziej wreszcie: tajne porozumienie duchowe z kimś, o kim się czytało, lub słyszało — z kimś, kogo się na pewno nigdy nie zobaczy. Z misjonarzem francuskim, który pojechał leczyć ludzi, chorych na trąd. Z uczonym, który poświęcił życie studjom klinicznym i stracił, walcząc z rakiem, najpierw palec, potem rękę, potem drugą rękę...

II.

Lena miała okres, w którym rosła, rzecz można, jak burza. Jej doniedawna spokojnie dziecięce oczy nabierały z dnia na dzień wspaniałości błyskawic. Jej nieśmiałe, młodociane wargi nabierały, z godziny na godzinę, soczystości wiosennego deszczu. Jej wstydlive, dziewczęce piersi zakręgały się i wzbierały, jak żagle pod nawałnicą...

W tym okresie zaczęto się obawiać, że w Lenie obudzi się krew jej prababki, osoby podobno bardzo pięknej, ale bardzo nieszczęśliwej. Kobieta ta miała się śmiertelnie zakochać w jakimś francuskim generale (generałowie bywali wówczas



jeszcze młodszy, niż dziś) i, zakochawszy się, uciec z domu. Wróciła do tego domu po latach, kiedy we Francji nie było już cesarza Napoleona, a na świecie jej generała — kiedy była tylko zniszczona rodowa wieś, wielokrotnie obrabowany dwór — mściwy, siwy mąż — i rozpaczliwa, głucha starość.

Lena była kompletną sierotą. Rodzice odumarli ją wcześniej. To też ciotki i opiekunki drżały na samą myśl, że Lena mogłaby — — —

Ale w Lenie nie przemówiła krew jej prababki. Jeżeli młodość mknie czasem, jak szalony pociąg, gotowy się wykoleić w każdej chwili — to o Leninej młodości trzeba powiedzieć, że jakaś tajemnicza i silna dłoń zwekslowała, w ostatniej sekundzie, wszystkie rozpędzone koła, wszystkie dzwoniące sprzęgła, na inne, nieoczekiwane tory. Niewiadomo nawet, jak i kiedy się to dokonało. Niewiadomo, dzięki jakiemu prawu dziedziczności przemógł i n n y g a t u n e k k r w i. Dość, że w Lenie dojrzała i umocniła się niezłomnie, jako zasadnicza cecha charakteru, słodycz. Słodycz, i ogromna tkliwość. Więcej nawet. Pokora! Zakwitły w jej duszy ogrody dobroci. To wszystko czekało teraz — na Dyktatora.

Kiedy Lena miała lat ośmnaście, podobna była jakoby bardzo do owej nieszczęsnej prababki.

W przeciągu dwu lat dokonała się jednak zupełna przemiana. Skończywszy rok dwudziesty, stała się, podług zgodnej opinii rodziny, ładną podobną do innej krewnej, ciotki tamtej, która wyszła za mąż bardzo młodo, żyła z mężem zaledwie kilka lat, a następnie straciła go w powstaniu. Nie znaczy to bynajmniej, że poległ. Nie, nie poległ, tylko przepadł bez wieści, na zesłaniu. Inni wrócili z Sybiru. O innych dotarły przynajmniej do bliskich jakieś nowiny, złe lub dobre... A o nim — nic. Kamień w wodę!

Babka Leny, podówczas zaledwie trzydziestoletnia kobieta, mogła być dochodzić swego wdowieństwa. Mogła była, miała prawo, upomnieć się o swoje kobiece przywileje. Nigdy tego nie uczyniła. Nigdy podobna myśl nie zaświtała w jej głowie. Dochowała żywemu (a może umarłemu?) wiary do ostatka...

Do niej to upodobniła się tak niezwykle panna Lena. Ten sam idealnie czysty profil, podobny do kamei. Ten sam łuk brwi, trochę dumnych. Ten sam piękny żar, idący skądś głęboko, zapewne od serca. I ta sama niepojęta, nieomal niewolnicza pokora — o dziwna sprzeczności! — godząca się z dumą.

— Polka?

— Polka.

III.

Rola pragnie słońca, ludzkie serce miłości. Serce wiejskiej panny Leny zapragnęło jej także. Tego nie można było, oczywiście, zmierzyć żadnym warjometrem, ani zważyć na najczulszej wadze. Ale to się widziało w tysiącnych zamgleniach dziewczęcego wzroku. W tysiącnych rumieńcach. To się słyszało w tysiącnych, nieuchwytnych, wibracjach głosu...

Było w rodzinie Leny rzeczą wiadomą, że jeżeli Lena się zakocha — to się zakocha raz na zawsze, całkowicie i bezapelacyjnie. Postanowiono tedy otoczyć ją najczujniejszą opieką. Żeby nie pokochała, broń Boże, człowieka niegodnego tak wyjątkowej dziewczyny. Żeby nie pokochała, nie daj Boże, nieszczęśliwie!

W okolicy zarysowywały się niejaki konjunktury matrymonjalne, odpowiednie zarówno pod względem rodowym, jak i majątkowym. Taki pan Gościeradzki, chłopak jak złoto, najbliższy sąsiad, dobry chłopiec, tylko trochę szalawiła. Taki młody hrabia Kalitowicz, spowinowacony z Leną przez Dąbrowskich, dziedzic pięknego nazwiska i pokaźnej fortuny. Taki, wreszcie, Koście-

sza, zbyt wielki być może (w przeciwieństwie do Gościeradzkiego), sensat, ale doskonała głowa i najlepszy w powiecie gospodarz.

Że to były jednak, plus ou moins, dopiero mgliste konsyderacje, ukrywane w nagłębszym sekrecie przed Leną, postanowiono tymczasem wywieźć ją zagranicę. Najpierw do Paryża, potem na Rywjerę. Żeby sobie trochę popodróżowała, nasłuchiwała się dobrej muzyki, za którą tak przepada, zażyła złotej panińskiej wolności (nasienna koniczyna udała się opiekunowi nadspodziewanie!) a panowie Gościeradzki, Dąbrowski i Kościeszka tymczasem — hm, jakby to powiedzieć? — do j r z e l i.

Panna Lena wyjechała do Paryża z ciotką Rokszycką w połowie listopada. Miały później, na Jasnym Brzegu, zabawić do połowy stycznia i wrócić pod koniec karnawału, kiedy bale w Warszawie są, jak wiadomo, najświetniejsze. Nie myślano jej bynajmniej do małżeństwa przynaglać. Posażna jedynaczka, sierota, przytem śliczna jak marzenie, nie potrzebowała się z wyborem męża śpieszyć.

Wszystko przemawiało jednak za tem, że w końcu stycznia, lub w lutym, Lena zwróci uwagę na jednego z trzech konkurentów (Gościeradz-

ki, Kalitowicz i Kościeszka wodzili za nią oddawna zachwyconemi oczami), da Bóg, zakocha się, zaręczy z którymś z nich — i że huczne wesele będzie można urządzić w jakieś pół roku później; najlepiej w czerwcu-lipcu (maj nieszczęśliwy!) albo po żniwach, razem z okreśnem, co mogłoby się stać prześliczną uroczystością, nie tylko familijną, ale nawet do pewnego stopnia ogólnokrajową. Bo przecież Gościeradzcy mają mnóstwo krewnych w Małopolsce, Kalitowicze — w Wielkopolsce, Kościeszowie — na kresach. Tak czy inaczej, zjechałyby się wszystkie byłe zabory. No, i opiekun Leny, wuj Rokszycki, kochający ją, jak własną córkę, ale nadmiernie przeciążony własnymi interesami, nareszcieby odetchnął...

IV.

Jak grom z jasnego nieba, spadła na pana Rokszyckiego, mniej więcej w miesiąc po wyjeździe pań za granicę, następująca depesza:

„Quittons Cannes rentrons Paris — stop
— Lena follement éprise — stop — coup de
foudre — stop — sais pas chanteur acteur
rastaquouère — stop — pas moyen persua-

der Lena désastre mariage inconsideré folie
vouloir épouser étranger inconnu — stop —
Viens au secours Règina lundi — —

GRAŻYPA“.

Z tej chaotycznej i alarmującej depeszy, podpisanej przekreśconem imieniem Grażyny (tak było na imię jego żonie), wywnioskował pan Rokszyci, że sprawy stoją fatalnie. Jakoż nie omylił się. Gdy wylądował w Paryżu, zmiętoszony po tylogodzinnej jeździe w dusznym sleepingu, zobaczył na peronie tragiczną, niczem Niobe, tonącą w łzach, panią Grażynę. Rzuciła się na jego spotkanie.

— Przybywasz za późno!

— Co się stało?

— Lena wczoraj potajemnie wzięła ślub!

— Wszelki duch!... Kto to taki?

— Nie mam pojęcia. Nazywa się Bora!

— Włoch?

— Włoch.

— Nomen-omen... Porwał ją, jak wichher...

— Ciebie się żarty trzymają?

— A co mam robić? Ręce łamać? Biec do prefektury policji? Dziewczyna pełnoletnia! A zresztą, jeżeli powiadasz, że wzięła z nim ślub...

— Wzięła!

— No, to po balu. Możemy najwyżej kupić Lenie piękny prezent ślubny, albo wykląć ją uroczyście. Jak będziesz wołała.

— Podziwiam twój humor!

— Ty to nazywasz h u m o r e m? Wolałbym, żeby mi się stodoła z krescencją spaliła! Ładny pasztet, na przywitanie, po 36-ciu godzinach, spędzonych w wagonie, po 4-ch odprawach celnych — nie, 5-ciu! Zapomniałem o n a s z e j granicy!

— Adamie, co my teraz pocniemy? Co masz zamiar przedsięwziąć?

— Ja? Mam zamiar pojechać z tobą do hotelu, wziąć kąpiel, ogolić się, a potem — rozmówić się z tą warjatką!

Po drodze do hotelu pan Rokszycki dowiedział się od żony, piąte przez dziesiąte, jak to było. Więc najpierw dowiedział się, że ten signor Bora jest śpiewakiem, tenorem. Podobno bardzo znanym. Następnie wyszło najaw, że tego Borę przedtem, przypadkowo, raz jeden słyszała w radju. Wreszcie wyszło najaw, że Lena zrazu nie raczyła z nim nawet rozmawiać przy table-d'hocie i unikała go wprost ostentacyjnie — a potem raptem, usłyszawszy go na dobroczynnym koncercie,

straciła głowę. Pojechała z nim na otwarte morze motorówką, wróciła blada, jak śmierć.

Następnego zaś ranka, po nieprzespanej wi-dać nocy, jeszcze bledsza, zapukała do pokoju wujenki, weszła, rozplakała się i wyznała, całując panią Grażynę po rękach, że się wczoraj potajemnie zaręczyła, ale, że jej wyrzuty sumienia całą noc spać nie dały, więc oto teraz, mimo wczesnej pory — — —

— Przystojny? — zapytał żony pan Rokszycki, przerywając dalszy tok opowiadania.

— Ten Włoch? Owszem. Bardzo.

— Pewnie smagły brunet, jak oni wszyscy?

— Nie. Blondyn.

— Co ty mówisz?

Kiedy auto zatrzymało się przed podjazdem hotelowym i chmara boy'ów z napisem REGINA na czapkach wybiegła na spotkanie, pan Rokszycki zapytał jeszcze pośpiesznie:

— Gdzie ona teraz jest?

Pani Grażyna spuściła nisko głowę.

— U... niego.

Nie mógł pocziwy szlagon zachować powagi, choć był poważnie tem wszystkim zalterowany. Głębokie zawstydzenie żony wydało mu się, w aktualnej sytuacji, komiczne.

— Grażyno — powiedział z uśmiechem, kładąc dłoń na dłoni zarumienionej małżonki: — Zastanów się! Skoro się, jak powiadasz, pobrali i zaczęli wczoraj miodowe miesiące?...

— Tak, ale to jest straszne!

— Co, mianowicie?

— On mieszka... w hotelu.

Pan Rokszycki westchnął.

— Trudno, moja droga. I my oto zamieszkamy w hotelu...

Nie powiedział, oczywiście, żonie, co mu w tej chwili zamajaczyło w wyobraźni. A zamajaczyły mu w wyobraźni stare, wyniosłe lipy, okalające pusty w tej chwili dwór w Kamiennej — dziedzictwie Leny — gdzie myślał, latem przyszłego roku, wznosić bramę triumfalną dla państwa Gościeradzkich... A może dla Kalitowiczów. A może dla Kościeszów?

— Trudno.

Rozmowa z niedobrą Leną wypadła zupełnie inaczej, niż ją sobie pan Rokszycki wyobrażał. To prawda, że Lena weszła do pokoju zalekniona i zarumieniona, jak winowajczyni, z oczyma pełnemi łez. Biła jednak od niej taka łuna szczęścia, była taka uroczą i wzruszającą, że się w opiekunie wszystkich gniew odrazu wypalił. Powiedział tylko:

— Ach, ty, szalona głowo... — ale nie zdobył się na żaden wyrzut.

Lena całowała ciotkę i wuja po rękach, płakała i śmiała się naprzemian, nie była, wogóle, podobna do dawnej Leny, słodkiej i cichej, a mimo to dumnej. Coś się w niej jakgdyby załamało... A coś przedziwnie rozkwitło...

Gdy ją pan Rokszycki na pożegnanie, po raz ostatni, przycisnął do serca, zaczęła mu szeptać do ucha, prędko - prędiutko:

— Mój mąż strasznie radby wuja poznać... Właściwie chciał tu przyjść razem ze mną, ale potem uradziliśmy, że będzie lepiej, jeżeli przedstawi się wujowi jutro... Wujaszek z drogi... A przytem, ja to dobrze zrozumieć, i On to rozumie, dla wujaszka to była niespodzianka... Narazie, być może, przykra...

Pan Rokszycki pogłodził Lenę po głowie. Powiedział miękko:

— Przyjdźcie, kiedy to wam będzie dogadzało, kochanie. Zabawię w Paryżu parę tygodni. Pamiętaj jednak, że czeka nas niejedna poważna rozmowa o interesach... Wobec tego, co zaszło, muszę ci... muszę wam zdać sprawę z mojego zarządu i prosić o absolutorjum...

— Wujaszku! — zaprotestowała Lena, obla-
na ponsem — ależ my bynajmniej...

— Nie bądź-że dzieckiem, Leno. Majątkiem
kobiety zameżnej administruje jej mąż.

Lena roześmiała się srebrzyście.

— Wuju! Jak to będzie po polsku: B o r o-
w a, B o r y n a, czy B o r z y n a?

Pan Rokszycki podniósł zlekka brwi.

— Po polsku będzie — sensacja na trzy po-
wiaty!

Lena rzuciła mu się na szyję.

— Ale wuj stanie w naszej obronie?

— To się zobaczy!

VI.

Nazajutrz przedstawił się staremu szlache-
ci pan Bora. Rokszycki był, mimo wszystko, przy-
gotowany na poznanie się z typem... hm... egzo-
tycznym. Aliści, okazało się, że mąż Leny ma ry-
sy pięknego Słowianina. Zdarzają się takie typy
we Włoszech, dosyć nawet często.

Jedynym, niezaprzeczalnym akcentem „ital-
skości“ były oczy Bory: wielkie, ciemne, goreją-
ce, stanowiące oryginalny kontrast z prostym sar-

mackim nosem, blond czupryną i wysmukłą postawą.

— Niech mnie kule biją — mruknął pan Rokszycki do żony: — Ten Bora mógłby, z dobrym skutkiem, wywodzić się z Lubelskiego i rodzic się, przypuśćmy, z Gorzechowskiej!

Rozmowa, zrazu utykająca, potoczyła się niebawem żwawo. Bora mówił po francusku doskonale, prawie bez akcentu. Wysławiał się naturalnie i zwięźle, zupełnie bez emfazy. Zrobił na panu Rokszyckim naogół doskonałe wrażenie. Nic wpadł w żadną z dobroduszných pułapek, zastawionych nań przez Metternicha-Opiekuna. Wyszło najaw, w toku konwersacji, że rodzina Bora (nie szlachecka, niestety!) należy do triesteńskiego patrycjatu. Młody Bora studjował przez dwa lata w Rzymie, potem, po szczęśliwym debjucie operowym, porzucił prawo i poświęcił się karierze artystycznej. Osobistego majątku, jak się okazało, nie posiadał, ale miał pewne sperandy, po dwu stryjach bezdzielných, prowadzących do spółki poważny, stary interes handlowy. Zresztą zarabiał tymczasem doskonale. Miał engagement na szereg występów w Operze paryskiej. W tej właśnie sprawie przybył tutaj z Cannes. Właśnie przed tygodniem podpisał kontrakt...

A więc najgorsze obawy pani Grażyny, wyrażone w owej depeszy alarmującej, okazały się nieuzasadnione (*rastaquouère*).

Rokszyccy wybrali się tego wieczora z młodą parą do modnego i wesołego „Casino de Paris“, gdzie pani Grażyna gorszyła się arcy-zabawnie nagościami, pan Rokszycki przypominał sobie, powzdychując, kawalerskie czasy i ustawicznie podkręcał wąsa. Nie przeszkadzały mu jednak te płóche dygresje obserwować bacznie Włocha. Im dłużej mu się przyglądał, tem żywszą doń zaczynał czuć sympatję. Pan Bora zyskiwał ogromnie przy bliższem poznaniu. Posiadał nieodparty urok. Przytem był naprawdę piękny.

Zbyteczna dodawać, że Lena nie spuszczała z męża rozkochanych oczu...

VII.

Rokszyccy zabawili w Paryżu krócej, niż zamierzali. Jak to zwykle bywa, zaczęły nadchodzić ze wsi, dzień po dniu, hiobowe wiadomości. Administrator pana Rokszyckiego donosił, że zboże nagle spadło w cenie, wobec czego syndykaty powstrzymują się narazie od tranzakcji; zapyty-

wał, z jakiego źródła, wobec tego, ma być pokryta najbliższa rata za nowy komplet parowy; meldował, w przypisku, o chorobie ulubionej wierzchoćki pana Adama, która pewnie z influenzy nie wyjdzie; wreszcie meldował, w drugim przypisku, że mechanik się w ostatnią sobotę upił, ubliżył praktykantowi, z czego wynikła okropna awantura: obu, do powrotu dziedzica, zawieszono w czynnościach.

— Musimy jechać!—powiedział do żony pan Rokszycki. — Jestem pewny, że to jest zaledwie mała porcja tego, co mnie czeka w domu! Z Karmiennej nie dostałem ani jednego raportu. Założyłbym się, że tam jest gorzej, niż u nas.

Pożegnanie wypadło bardzo wzruszająco. Stało się wprawdzie na tem, że Lena z mężem przyjedzie do kraju, i to w najbliższym czasie, ale było wiadome, że ten „najbliższy czas“ może się okropnie wydłużyć. O opuszczeniu Benita Lena nawet słyszeć nie chciała!

— Najdrożsi! — powiedziała na dworcu kolejowym, tuląc się jednocześnie do ramienia męża: — Przyjedziemy, da Bóg doczekać, na Sylwestra. W tym czasie Benito nie będzie śpiewał. A potem — zobaczymy. Może, po krótkim tournée, uda mi się skłonić mojego pana i władcę do

spędzenia całego lata w Kamiennej? Jakby to było cudownie! Benito poznałby całą naszą rodzinę, sąsiedztwo...

Pani Rokszycka nie na to nie odpowiedziała, bo wyobrażała sobie nazbyt dobrze „zachwyty” sąsiedztwa, a zwłaszcza zachwyty panów: Gościeradzkiego, Kalitowicza i Kościeszy.

Nachyliła się do ucha Leny:

— Daj ci, Boże, dziecko kochane, wszystko, czego sama pragniesz. Wiesz, jak cię serdecznie i głęboko kochamy. Tylko pamiętaj, żebyś się nam nie... wynarodowiła.

Lena spojrzała w oczy pani Rokszyckiej. Dużemi, dużemi oczyma, czystymi jak łza.

— Nie — powiedziała cichutko. — Ja się nie wynarodowię nigdy! Ale wiedzcie, że ja tego człowieka pokochałam na całe życie — i pójdę za nim wszędzie, bo dajby na kraj świata! — Wiedzcie!

Pani Rokszycka przygarnęła ją gwałtownie do piersi. Stłumiła szloch.

— Wiemy!

Zamykano z trzaskiem drzwi wagonów.

— Do widzenia, Leno!

— Do widzenia, Najdrożsi!

— Au revoir, Monsieur Bora!

— Au revoir, Madame! Au revoir, cher Monsieur!

— Lenuchno! Pamiętaj... Na Sylwestra!

— Tak, ciotuchno!

VIII.

Drogę mieli wujostwo Rokszyccy niewesołą. Bardzo niewesołą. Do polskiej granicy jeszcze jako-tako: pan Rokszycki godzinami wyglądał z wagonu i pomrukiwał pod wąsem, że oziminy w Niemczech ani się umywają do naszych, choć, niby, taka kultura...

Ale po przebyciu granicy zrobiło się Rokszyckim naprawdę markotno na duszy. Doznali wrażenia, jakgdyby zgubili kędyś, na obczyźnie, najcenniejszy zastaw, jaki im kiedykolwiek powierzono. Pan Adam, nieskory do żalów, tym razem nie strzymał.

— Ano, cóż — powiedział, wpatrując się w śnieżną równinę, przesuwaną się koło okien: — Nie upilnowaliśmy dziewczyny! Niema nawet o czym gadać! Miły i dobry, zdaje się, człowiek, ten mąż Leny — ale obcy...

— Obcy — potwierdziła, zwiesiwszy głowę, pani Grażyna.

— Tak, tak...

Zapadł szybko zimowy zmierzch. Koła kurjerskiego pociągu wystukiwały gorączkowo jakiś niepokojący refren. Obojgu wydało się w pewnej chwili, że telegraficzne słupy za szybami są jak krzyże cmentarne.

— Adasiu...?

— Co, kochanie?

— Jak myślisz?. Czy ten Bora zgodziłby się zrezygnować z kariery artystycznej i osiąść kiedyś w Polsce, na roli?

Pan Adam zapalał właśnie papierosa. Coś mu dziwnie błysło w oczach. Może iskra — odblask iskry?

Zaciągnął się głęboko dymem, wytrzymał pauzę, potem dopiero odpowiedział:

— Myślę, że nie.

Gdyby mogli byli, w tej samej chwili, zrozumieć jęk drutów telegraficznych, rozpiętych na krzyżach słupów — zerwaliby się na nogi, jednocześnie, i spojrzeli sobie w oczy z przerażeniem. A być może, żeby się rozplakali, jak małe dzieci. Bo mąż Leny już nie żył.

IX.

Mąż Leny zginął nazajutrz po wyjeździe Rokszyckich z Paryża, u zbiegu Avenue de l'Opéra i Bulwarów. Wracał z próby, kupił od kwiaciarki pęk mimozy (dla Leny!) i zrobił dwa kroki wpoprzek jezdni. — — —

W tym samym momencie ruszył olbrzymi samochód, naładowany po brzegi Amerykanami: policjant nie dał znaku. — — —

Wogóle, zdarzyło się to po raz pierwszy, że szofer samochodu był w biały dzień kompletnie pijany — — — (w zeszłym miesiącu umarła podobno temu człowiekowi młoda żona). — — —

Radjator powalił Borę nawznak, rama zgniotła mu klatkę piersiową. — — —

Żył jeszcze 5 minut.

X.

Depeszę ze straszliwą wiadomością dostali Rokszyccy na dworcu w Warszawie. Tak jest. Kiedy patrzyli na słupy w zapadającej nocy, rozstawne sztafety nieszczęścia, słupy te podawały, jeden drugiemu, dzwoniącemi głosami krzyk Leny. Telegraf jęczał:

— Benito mort — Benito mort — Benito mort — Benito mort. — — — —

Leciała ta wieść, wślad za kurjerskim pociągim, aż wyprzedziła pociąg, aż zdystansowała go, aż mu zgotowała niespodziankę, owiniętą w sutą krepe... Podał zresztą tę niespodziankę człowiek, bardzo zwyczajnie ubrany w kolejową czapkę.

— Państwo Rokszyccy?

— My.

— Depesza dla państwa.

— Dla nas???

Skrzywił się potem człowieczek w kolejowej czapce, bo się spodziewał napiwku a napiwku nie dostał. Dziwno mu było, że są państwo, „jeżdżące sleepingiem a żałujące złotych za fatygę...”

Odwrócił się od Rokszyckich, nie zadając sobie trudu przyjrzenia się im; wzruszył lekceważąco ramionami, wsadził ręce w kieszenie i odszedł.

A Rokszyccy nachylali się nad depeszą, onieśli — jedno naprzeciw drugiego — i szeptali bezdźwięcznie, nachyleni do siebie, jak konspiratorzy:

— Jezus-Marja... Jezus-Marja... Jezus-Marja...

X

Po pogrzebie Bory (pochowano go w Paryżu) Lena wróciła do kraju z wujostwem Rokszyckimi. Nic się w niej zewnętrznie nie zmieniło, ale to nic. Nie schudła, nie zmizerniała, nie zbrzydła...

Zamieszkała, jak dawniej, w Kamiennej, tylko sama jedna. Sama jedna, bo nikogo z rodziny mieć przy sobie nie chciała.

Wkrótce po powrocie doznała jeszcze jednego druzgocącego ciosu: łudziła się, że zostanie matką. Dowiedziała się, że jest w błędzie.

I wówczas wpadła w to coś — czego nikt dokładnie określić nie umie. Nienormalność? Nie, jest zupełnie normalna. Melancholję? Nie, nie robi wrażenia melancholizki.

Prostu Lena żyje wyłącznie jedną rzeczą: płytami gramofonowymi.

Ma ich tylko trzy — bo zmarły zdążył naspiewać tylko trzy.

XII.

Kiedy zapada noc i wszystko się ucisza, prócz westchnień drzew — i nie wszystkim dostępnych westchnień Dali — Lena nastawia

gramofon. I gramofon gra. Zawsze to samo. Muzykę z trzech dysków, pokolei.

Słuchają męskiego, pysznego głosu stare li-py, okalające dwór, jak zielona chmura; słucha drzewko perskiego bzu; i Lena słucha, nieru-choma.

— Her Master's Voice.

SERCE SERAFINY COEUR

Serafina Coeur mieszkała we własnem, luksusowem mieszkaniu, we własnym luksusowym domu, na własnej, absolutnie własnej ulicy: prawą stronę tej ulicy zajmował wspomniany luksusowy dom i ogród, lewą — place, będące również własnością Serafiny Coeur. Stołeczny magistrat nazwał tę krótką ulicę trafnie: Bogatą. Serafina Coeur miała, jak widzimy, sytuację niezwykłą, a w każdym razie materialnie pierwszorzędną; nie stałaby się zapewne nigdy bohaterką tej noweli, i wogóle nie stałaby się bohaterką żadnej noweli, gdyby nie to, że, poza bogactwem, odznaczała się jeszcze sercem o niektórych wyjątkowych właściwościach.

Serce Serafiny Coeur wykazywało pewne cechy, przypominające maszynę, zwaną *lokomobilą*. Jak wiadomo, może taka maszyna pracować bardzo wydatnie przy najróżniejszych obciążeniach: tak samo serce Serafiny Coeur.

Gdyby ktoś powiedział, że w lokomobili coś się popsuje, bo dziewczyny, stojące u podawaczy młocarni, zaczęły raptem po lusach wrzucać do bębna przerosłe, tęgie snopy zboża, ciężkie, jak żelazo — powiedziałby głupstwo. Tak samo byłoby głupstwem powiedzenie, że serce właścicielki nieruchomości Nr. 1/2/3 przy ulicy Bogatej omdleje z tej racji, że po półrocznych, błahych flirtach, uderzyła w nie (serce) straszliwa żagiew miłości.

Raczej prędzej lokomobila jęknie: nie serce Serafiny Coeur.

Z szarych strzępów próżni — w piec aż biały od żaru. Jeden skok. Skok równie łatwy, jak skok tłoku. Od leniwych pasem nudy—do rwącego postawu miłosnej furji. Jeden obrót. Obrót równie szybki, jak obrót warczącego koła.

— Nie kochała?

— Szaleje.

— Czy się przez to coś zmieniło?

— Nic się nie zmieniło.

— A gdy któregoś dnia ostygnie?

— Też się nic nie zmieni.

— Zewnętrznie?

— Nie, doprawdy, także i wewnętrznie.

— Więc co?

— Więc nic.

— Jakże to nazwać?

— Nijak.

— ?

— Albo zwyczajnie: sercem Serafiny Coeur.



Są dialogi miłosne, po których mróz drze po skórze. Są inne, jątrzące, jak drobny, ostry żwir. Są jeszcze inne, palące, jak ogień. Są takie, które upajają jak mocne wino. I takie, które śpiewają w duszy, jak poezja.

Żadnego z tych dialogów nie prowadziła z kochankami Serafina Coeur. Poprostu nie uczuwała konieczności prowadzenia takich dialogów.

Ostatnim razem, kiedy pewien młody człowiek, odwiedzający jej mieszkanie, ukląkł przed nią raptownie i objął jej cudowne kolana w jakimś pół-wybuchu, pół-skowycie — podniosła go z klęczek, bardzo naturalnie i poprostu, i powiedziała:

— Pan mi się też bardzo podoba.

Potem przymknęła na sekundę oczy, jakgdyby dla zebrania myśli, które pierzchają. Powiedziała:

— Pragnę pana tak samo, jak pan mnie pragnie.

To wszystko bez zawieszzeń, zwanych w muzyce *f e r m a t a m i*. Bez pauz, czy wahań, oznaczanych w literaturze wielokropkami.

Zwyczajnie.

Wyprostowała się, uśmiechnęła, podała mu obie ręce, a potem usta.

— Czy Ty mnie kochasz? — szepnął młody człowiek rwącym się głosem: — błagam Cię, powiedz...

Odpowiedziała mu z głęboką szczerością, wyraźnie i uczciwie akcentując „Ty“.

— Kocham Cię.

Potem, widząc, że on się waha i szuka po tym pierwszym pocałunku i po tem wyznaniu logicznej pointy, zaproponowała:

— Oddam Ci się zaraz? Dobrze?

Myliłby się, ktoby po tem, co napisano, wynioskował, że Serafina Coeur była t. zw. „kobietą łatwą“.

Wręcz przeciwnie. Serafina Coeur nie można było w żaden sposób nazwać łatwą. Od szeregu tygodni i miesięcy ubiegali się o jej względy różni mężczyźni. Niektórzy wkładali w to nawet dużo szczerzej zaciekleści. Nie sypiali z jej powodu po nocach. Zaniedbywali z jej powodu swoje obo-

wiązki zawodowe. Zagłuszali się (z jej powodu) alkoholem lub kupnemi pieszczotami.

Nie miało to jednak dla sprawy najmniejszego znaczenia.

Ani młody, przedziwnie rasowy hrabiec, ani fenomenalny mówca, ani słynny lekkoatleta, ani wpływowy przemysłowiec, ani znany uwodziciel, posiadający najpiękniejszą w stolicy kolekcję pornograficznych rycin, nie nie wskórali u Serafiny Coeur.

Młody człowiek, o którym mowa, też wydeptał niezliczoną ilość razy puszyste dywany, zdobiące hall domu Nr. 1/2/3 przy ulicy Bogatej.

Zanim posiadał Serafinę Coeur.

*

— Wiesz? — powiedziała Serafina Coeur do swojego młodego kochanka, nazajutrz po pierwszej nocy, spędzonej z nim naturalnie bezsen-
nie: — Wiesz? W operze dają dzisiaj „Carmen“. Byłam już, zdaje się, 25 razy na tej operze, ale poszłabym jeszcze raz, tak ją dziwnie lubię.

— Dobrze, najdroższa.

Kochanek Serafiny wybiegł z domu, jak oszalały, wskoczył do pierwszego spotkanego samochodu i kazał się wieźć do opery. Gdy kupował

w kasie bilety, drżał ze wzruszenia na samą myśl, że oto dziś, po raz pierwszy, pokaże się w łoży, publicznie, przy boku tej oszałamiającej, pięknej kobiety, którą napróżno usiłowali zdobyć (wiedział) najrasowksi mężczyźni.

Gdy stanął przed kochanką, aż pobladł...

Myślał, że zastanie ją już ubraną. Że, ze zmianą stroju, zapanuje między nimi nieodzowna, choć może krótkotrwała oficjalność. Że będzie musiał poskromić do wieczora — kto wie, może do nocy? — kto wie, może do jutra? — wybuch nowej namiętności, nabrzmiałej w jego krwi, jak gorąca lava w arterjach krateru.

Tymczasem ona, Serafina, widocznie wiedziała, albo przeczuwała, że kochanek jej będzie nie-nasycony. Przyjęła go w tym samym, miękkim i zachwycającym penjuarze, w jakim ją pożegnał na progu sypialni, przed godziną. Nie poprawiła sobie włosów. Nie dotknęła nawet ołówkiem ust. Była blada trochę, wargi miała jakgdyby zmięte, ale niewypowiedzianie kuszące.

— Chodź do sypialni.

Przyłgnęła do niego miękko. Ogarnęła go nagiemi, ciepłemi ramionami. A potem, już leżąc przy nim, straciła bosą stopą niepotrzebny kontakt od małej, alabastrowej lampki, stojącej obok, na niskiem stoliku. Upadł na dywan.

W sypialni było i tak widno: przez storę padało białe, ostre światło lampy łukowej, płonącej już na ulicy.

*

Było już bardzo późno, gdy znaleźli się w teatrze. Późno, ale kurtyny jeszcze nie podniesiono. Tylko zgaszono światła na widowni.

Kiedy akt się skończył i kiedy, w ulewie braw, zapalono światła, przysunęła się do niego jeszcze bliżej, tak, że każdy mógł zauważyć ich bliskość. Widocznie nie dbała o to. Oddawała ukłony z prostotą i wdziękiem. Z paru łóż naprzeciwko lornetowano ich zawzięcie. Lornetowano ich z parteru. Kłaniano się im z pewnym szczególnym odcieniem respektu. Wieczoru tego w operze było dużo znajomych. Zachowanie się Serafiny Coeur było niedwuznaczne. To też wszyscy jej znajomi, zarówno jak znajomi ich wspólni, mieli doskonałą sposobność ustosunkowania się do faktu dokonanego. Przypadek zrządził, że przyszli słuchać „Carmeny“ młody rasowy hrabicz, fenomenalny mówca, słynny lekkoatleta, wpływowy przemysłowiec, oraz właściciel najpiękniejszej pornograficznej kolekcji.

Stawili się w następnym antrakcie w łóży Serafiny Coeur, wszyscy co do jednego, akcentu-

jąc, każdy na swój sposób, doskonałe zrozumienie sytuacji. Na szczęśliwego rywala patrzyli z abominacją.

Zachowali się jednak nad wyraz kurtuazyjnie i rycersko.

*

Jest czasem coś w kobiecie, co upaja mocniej, niż narkotyk. To coś leży nietylko w tem, co kobieta robi, ile w tem, czego nie robi.

Kiedy, po skończonem przedstawieniu, oboje udali się do modnej restauracji, odwiedzanej przez najelegantszy beau-monde stolicy, kochanek Serafiny miał sposobność przekonania się, że wszedł do najpiękniejszego ogrodu na świecie...

Rozkoszna w sypialni, okazała się jego Pani równie, albo jeszcze bardziej, rozkoszną przy uczcie. Nie straciła w szatni niepotrzebnych 5-ciu minut na poprawienie sobie uczesania. Nie zawahała się przed wejściem na salę. Nie ociągała się w obliczu jadłospisu. Nie wzdragała się na widok wina. Nie powiedziała ani jednej złośliwości o obecnych w restauracji kobietach. Nie oburzyła się ani razu z powodu natarczywości męskich spojrzeń.

Pogodna jak lato, wesola jak słońce, pograżyła swego kochanka w nowej ekstazie. Podtrzy-

mywała wątek rozmowy z niesłabnącą werwą. Błyskała od czasu do czasu najprzedniejszym dowcipem. A gdy po paru godzinach, po paru flaszkach wina, uczyniło się w sali trochę duszno i gorąco, westchnęła rozbrajająco:

— Szalenie tu miło, ale w domu będzie nam chyba jeszcze milej?

Pół miasta przejechali w jednym, zuchwałym pocałunku, tak, że przed domem Nr. 1/2/3 stanęli właściwie bez tchu.

Szofer otworzył błyskawicznie drzwiczki: ledwie zdążyli cofnąć głowy.

I limuzyna Serafiny Coeur odjechała równie bezszelestnie, jak podjechała do jej domu.

Otworzyli drzwi kluczykiem, który miała w srebrzystej torebce z lamy. Dobra służba już spała. Nie zapalali światła.

A w salonie, na rozstajnych drogach między buduarem a marmurem Canovy, skusił ich duży, biały niedźwiedź...

W niewytłumaczonym porywie brutalności rzucił ją na skórę. Ciężka, lśniąca suknia, mieniająca się, jak ornat, fosforyzowała dziwnie w ciemnym pokoju.

Noc rozgrzeszyła spazm...

Któregoś miesiąca zachorował. Przyszło to znienacka. Było ciężkie.

Długo gorączkował i majaczył.

Przez cały czas choroby Serafina Coeur nie odstępowała łóża chorego. Czuwała nad nim we dnie i w nocy. Silna i wytrwała, zachowywała absolutną przytomność, mimo tylu wyczerpujących i bezsennych nocy. W domu, pachnącym eterem, sprawowała ciche, ale roztropne rządy. Tylko lekarze, leczący młodzieńca, wiedzieli, ile zdziałał pewien zastrzyk, zastosowany wporę, pewien alarmujący telefon, który uratował pacjentowi życie...

A kiedy przyszła rekonwalescencja, Serafina Coeur stała się jeszcze gorętszą i słodsza, niż zazwyczaj. Potrafiła poskromić wszystkie kaprysy straszliwie zdenerwowanego człowieka. Potrafiła, z samarytańską łagodnością, znieść wszystkie wybuchy męskiego egoizmu. Potrafiła, jak dobra siostra, złagodzić każdy eksces i dziwactwo ozdrowieńca. Cierpliwie usypiała jego zmysły, dopóki to było konieczne. Zaś w dniu, gdy łysy profesor, znakomity specjalista, uśmiechnął się jowjalnie i odszedł po raz ostatni, ściskając w dłoni czek — sama pocichutku wsunęła się pod kołdrę, okry-

wającą jej kochanka, i podała zgłodniałemu swo-
gorące, nabrzmiące słodyczą, usta...

*

Ani głupia kula, która rozorała ucho, chy-
biwszy mały mózdek — ani późniejsze lata spo-
kojnej rezygnacji, nie wyjaśniły nigdy młodemu
kochankowi Serafiny Coeur, dlaczego stało się to,
co się stało? Dlaczego któregoś dnia, w pełni
szczęścia, ledwie cudem, wolą tej kobiety ocalony,
siłą jej poświęcenia uratowany — pełny jej zapa-
chu, gorący jej gorącem, przesycony jej rozkoszą
— utracił ją na zawsze...?

Nigdy tego nie objął, nie ogarnął, jak to się
dokonało, że miłosnem, najwyższem jej postano-
wieniem wydarty śmierci — nieomal nazajutrz
dostał nieubłagany wyrok?

W przeddzień cieszyła się jeszcze jego zdro-
wem. Pokazywała mu lustro i mówiła, że po cho-
robie bardzo wypiękniał. Dotykała jego ramienia
i szeptała mu sekrety o wzrastającej sile jego mło-
dych mięśni. Patrzała mu w oczy i uśmiecha-
ła się promiennie.

Spędziła z nim szaloną, radosną noc i klęcza-
ła przed nim z rana, i cieszyła się, jak dziecko, że

jest już krzepki i że idzie cudowna wiosna, i że drzewa na ulicach naprawdę się zielenią.

A nazajutrz powitała go chłodno.

Powiedziała, że ma dużo pilnych zajęć i prosi, żeby już tego dnia do niej nie przychodził, tylko, ewentualnie, zaczekał na jej telefon.

Gdy telefonu nie było, mimo to przybiegł.

Kluczem, zdawna posiadanym, otworzył jedne z trzech drzwi domu 1/2/3 przy ulicy Bogatej.

I zobaczył z salonu scenę aktu — nowej komedji, czy też nowej tragedji, — dziejącej się w sąsiednim buduarze.

Zanim się w jego krtani załamał szloch, i zanim oni go spostrzegli, spostrzegł coś, czego nigdy nie powinien był widzieć...

Dojrzał nowe oblicze swej kochanki — i nowy, nieznany mu uśmiech miłosny — i nowy, zupełnie obcy gest, który snąć kryła przed nim — i który teraz wydobyła z nieprzebranych skarbów swojej erotyki.

Struchlał wówczas nad zagadką serca Serafiny Coeur.

Być może, że kiedyś, w przyszłości, posiadłszy inne tajemnice, zrozumie i tę. Choć to wątpliwe.

— Czy może bowiem mężczyzna rozwiązać zagadkę miłości?

C O C K T A I L P A R T Y

Wóda stała za oknem, zagrycha na stole. Pierwszorzędna. Kilo kiełbasy, salceson, ogórki kwaszone. Kajzerek cała góra. Mroczek wykosztował się na szproty. Zośka ostatnia przyleciała, trochę zdyszana, w Lindbergu nabakier.

— Ojej, jakie tu smaki!

Prędko zdjęła futerko — nowiutkie krety! — w swetrze zielonym została. Zaczęła rozwijać dużą paczkę.

— Ja tu jeszcze schabu przyniosłam...

Wicek - Warjat, co go tydzień temu wypuścili z Mokotowa na urlop kuracyjny, gwizdnął tylko przeciągle.

— Fiu-fiuu... Jakie szyki!

Silnie splunął — Zośce pod nogi — i wziął za klamkę. Ale go Feluś zatrzymał.

— Dokąd?

— Po piwo. Damy, widzę, pierwsza klasa —

a zapomnielim o piwie. Taka w kretach cię potem w gazetach opisze...

— Nie bądź głupi. Daj forszę, sam skoczę.

— Bo co?

— Hinty za tobą łażą. Jeszcze nam tu gości sprowadzisz.

Wicek zastanowił się sekundę.

— Może i racja.

Wyjął z kieszonki papierek, podał go niedbale Felkowi. Ten się zdziwił.

— Za wszystko?

— Wiadomo, tuzin.

— Oho...

Felek się w mig uwinął. Cały tuzin Haberscha przydygował: cztery pod prawą pachą, cztery pod lewą, cztery tak. Zośka go pochwaliła:

— Zuch!

Tylko mrugnął wesoło.

— To się wi.

Tamci tymczasem, pod ścianą, palili w milczeniu, czekając na rozpoczęcie wstawy.

Trzech ich było. Długi Antek, Hiszpan i Cwajnos. Wicek podszedł do nich, usiadł okrakiem na krześle, wyjął papierosa, przypalił, zaciągnął się, splunął.

— Za mało kobiet — powiedział.

Hiszpan spojrział mu pytająco w oczy.

— Wiem dwie. Mieszkają na Freta. Przypro-
wadzić?

— Przyprowadź.

— Iii... — odezwała się od stołu Zośka, bar-
dzo obrażona. — Jeżeli tu będziecie panowie ścia-
gali z ulicy różne...

Wicek obrócił się do niej z krzesłem. Ucichła.

— Więc jakże będzie? — spytał się Hiszpan,
trochę niezdecydowany.

— Powiedziałem, przyprowadź! Co jest, do
cholery?

— Nie denerwuj się, Wicuś, idę po te sikorki.

— Idź.

Trochę towarzystwo przycichło, bo się wszy-
scy Wicka bali. Zawsze był warjat. Nikt nigdy nie
wiedział, czy mu co do głowy nie strzeli... Ot, cho-
ciażby ostatnim razem: wszystko obrobili, jak po-
trzeba, branzoletki, pierścionki, zegarki (w tem 10
dużych, złotych!) już mieli w walizce — a tu
nagle Wicek, że się ten żydek-zegarmistrz troszkę
na podłodze ruszył i, związany, zaczął skuczyć...
raptem go bez żadnej potrzeby... ziuch!... w bebe-
chy. Z ładnej, czystej roboty zrobiła się mokra.
A potem, naturalnie, wielki hałas, śledztwa, aresz-
ty, sprawy... no, i Mokotów. Szczęście jeszcze, że

się ten parch wylizał. Inaczej mogłaby i gemza być. Doskonale podchodziło pod doraźniaka. Adwokat mówił, że Wicek powinien był tego żydka w rękę pocałować, za to, że wyzdrowiał... Ładnyby urlop zdrowotny miał! Chyba z Bródna?

*

Hiszpan nie cygańił. Tamte dwie facetki rzeczywiście na jednej nodze sprowadził. Starsza była nieciekawa: dziobata jakaś, i schrypnięta. Zato druga, młodsza—malina. Ledwo weszła do pokoju, ledwo powiedziała „Dobrywieczór“! — zaraz się wszystkim zrobiło jaśniej i weselej. Mroczkowa, która chyba wszystkie dziewczyny w Warszawie znała, tej widać nie znała. Podeszła do niej, obejrzała ją dokładnie i aż cmoknęła z zadowolenia.

— Żałuj, Hiszpan, żeś mi takiej dwadzieścia lat temu nie przyprowadził...

— No, bo co?

— Miałbyś miesiąc spokojnego życia.

Mroczek nie lubił tych wspomnień. Przeszył żonę spojrzeniem, jak sztyletem.

— Bajzelmama — syknął. Wstał.

— No... zaczynamy?

— Zaczynamy! — zakomenderował Wicek.—

Niech tylko pani Mroczkowa trochę lampę podkręci, bo tu ciemno, jak...

Mroczkowa rozjaśniła lampę, zaczęli się sadować dookoła stołu. Z brzegu Mroczkowa, potem Zośka, przy Zośce Feluś; Długi Antek, Hiszpan i Cwajnos, co siedzieli od ściany, na łóżku, chcieli między siebie tę młodą pannę brać; ale ich Wicek rugnął; więc siadła do nich posłusznie Dziobata — a Wicek posadził młodą przy sobie.

Na to wszystko patrzyła Zośka, nie mówiąc nic. Raz tylko strzeliła w Wicka złem okiem, ale nie puściła pary z gęby. Spuściła oczy i bawiła się serwetką.

Przepili do siebie raz, przepili drugi. Kompanja była duża, kieliszki odpowiedzialne, zaraz się pierwsza butelka skończyła.

— Drugą dawać! — rozkazał Wicek. — Mogę dziś pić!

Znowu przepili, raz i drugi, kolejką. Wzięli się do zakąsek. I jeszcze raz wypili. Skończyła się druga butelka.

— Trzecia lu! — rozochocił się Wicek. — Wuju, nalewaj!

Mroczek sięgnął po trzecią.

Zrobiło się gwarnie. Wszyscy zaczęli naraz

gadać, jeden przez drugiego. Najwięcej ta Dżłobata, niezła, zdaje się, dziewczyna, ale głupia.

— Czego się pani drzesz, jak stara suknia?—
zeźlił się nagle Wicek. — Feluś! Daj jej pić, niech się uspokoi!

— Już się robi! — fyrtnął się pajacowato Feluś. — Rrrrozkaz, naczelniku!

Dostał czwartą flaszkę, wybił z niej korek, chlusnął damie do piwa dobre pół szklanki.

— Kruszon zimowy. Pij pani. Siup!

— Kiedy... Kiedy się wstawię...

— Nie pani nie będzie, aż do samej śmierci.
Chaim!

— Siulim!

Zośka trąciła Felka w bok. Powiedziała półgłosem:

— A ja... to pies?

Feluś nachylił się do jej ucha.

— Cicho... Cicho, panno Zosiu... Najpierw muszę Wickowi dogodzić... Jego dziś święto... Ta kikimora go denerwuje, widzi pani... Jak się urżnie, uśnie.

— Czego go pan tak słucha?

— Wicka?

— No! — Zośka zmrużyła niebieskie oczy:—
Czy pan jest lokaj jego?

— Tsss... — mitygował ją Felek. — Nie tak głośno!

— Bo co?

— Bo jakby Wicek usłyszał...

— Jak wy się wszyscy go boicie!

— Boimy nie boimy, ale go uważamy.

— Cóż on takiego ważnego? Że w Mokotowie 4 lata odsiaduje? Każdy z was już siedział!

— Nie o to rzecz chodzi.

— A o co?

— U niego łatwo... za majcherek. Pani sama wi.

— Wiem. A pan co, z masła?

— Gadanie. Nie z masła. Ale poco towarzystwo zasmucać?

— Tchórz pan jesteś. Ot, co!

— A pani, widzi mi się, o tamtą nową pannienkę zazdrośna.

— O którą? O tę lafiryndę, co siedzi przy Wicku?

— No.

— W pięcie ją mam. Wiesz pan?

— To się tak mówi...

— Nie wierzysz pan?

— Niezupełnie.

Wicek tymczasem zupełnie tej szeptanej rozmowy nie słuchał, albo przynajmniej udawał, że nie słucha. Przyciskał mocno do boku toczone ramię swojej towarzyszki, dolewał jej ustawicznie — i sam pił naumór. Zośka zdołała pochwycić tylko jedno Wickowe spojrzenie: ostre jak nóż. Zaraz potem głowę odwrócił i udał, że na nią zupełnie nie zważa. Zaczął głośno rozmowę ze swoją sąsiadką.

— Jak ci na imię?

— Janina.

— Janka! — Morowe imię. — Kontrolna jesteś?

— Tak. Bo co?

— Dawno się puszczasz?

— Nie wszystko panu jedno?

— Nie.

— Pięć lat.

— A ile teraz masz lat?

— Dwadzieścia jeden.

— No-no... Wcześniej zaczęłaś!

— A wcześniej!

— Z głupoty, czy dla zarobku?

— Cóż to za spowiedź?

— Zaraz. — Odpowiedz!

— Wiadomo, że dla zarobku. Któraby fa-

bryczna, mając szesnaście lat, taka głupia się uchowała? Do tego w Warszawie?

— To ty do fabryki chodziłaś? Do jakiej?

— Do garbarni.

— Świńska robota.

— Wiadomo. Właśnie przez to.

— I cóż: teraz ci lepiej?

— Lepiej-nie-lepiej, ale i nie gorzej. Fach wolny, gości dość... Byle humor był!

— Podobasz mi się.

— I pan mi się podoba.

— Tak?

— Tak.

— To mnie cieszy.

— Ale tej pani — o, co z tamtym blondynem siedzi — wcale to nie cieszy, że się sobie podobamy.

— Zdaje ci się.

— Już ja wiem, co mówię!

— Gwizdź na nią.

— Co to za jedna?

— Swołocz.

— Fe... Jak można tak brzydko... o kobiecie?

— To moja dawna kochanka, jeżeli chcesz wiedzieć. Zośka się nazywa. Jak mnie do więzie-

nia wzięli, zaraz się z innym zwąchała. Futro jej kupił. Taaak...

Od dłuższej chwili przy stole panowała już cisza i rozmowa Wicka z Janką rozlegała się donośnie. Wszyscy, prócz Zośki, mieli oczy wbite w talerze. Zośka siedziała blada, ale zupełnie spokojna.

Wicek ciężko wstał i mówił dalej, jakby w zamyśleniu:

— Żebym to ja wiedział, co to za miglanc był, który jej te krety zafundował... — (wziął głęboki oddech). — Pokrajałbym go na drobne paski... Tak samo, jak, widzicie, teraz sobie idę spokojnie... (zrobił parę kroków w stronę drzwi, na których wisiało nowe futro Zośki) — I k r a j e t a k... K..... futro!

Gdyby do pokoju rzucono bombę, efekt nie byłby silniejszy. Ale nikt się nie ruszył z miejsca. Zośka tylko drgnęła, ale, złapana przez Felusia pod stołem za rękę, przywarowała... zastygła.

Sprężynowy nóż Wicka pokrajał tymczasem miękkie futerko na kilkadziesiąt wąskich pasków. Żalosse strzępy krecich skórek, wraz z błyskającą tu i ówdzie jasną jedwabną podszewką, przypominały teraz skrawki, które się zmiata z podło-

gi i wyrzuca na śmietnik. Wicek odszedł powoli od drzwi, uśmiechając się dziwnie do Janki.

— Widziałas?

Tej ze strachu zaczęły zęby stukać, ale odpowiedziała:

— Wi... Widziałam...

Pogładził dziewczynę po głowie.

— Uważaj. Zaraz z nią jeszcze inny teatr odstawię.

Wyprostował się, oparł plecami o ścianę i powiedział do Zośki:

— Wstań!

Zośka ani drgnęła.

— Zośka. Do ciebie mówię. Wstań!

— Poco?

— Kusz! Nie twoja rzecz pytać. Chodź do mnie!

— Po tem, co zrobiłeś? Nie pójdę!

— Pójdziesz. Porozmawiamy.

— Z chamami nie rozmawiam!

— Taaaak...?

To, co teraz nastąpiło, stało się tak szybko, że większość obecnych nie zdążyła nawet ruszyć się z miejsc. Raz — Wicek jednym susem znalazł się przy Zośce i wyrznął ją w twarz, aż trzasło. Dwa — Felek runął na Wicka. Trzy — błysnął

Wickowy sprężynowy nóż. — Cztery — rzuciła się pomiędzy nich ta schrypnięta, Dziobata. (Nie-
zła była naprawdę dziewczyna, ale głupia!) Pięć
— Wickowy nóż wjechał aż po trzon w miękką,
sflaczałą pierś...

*

Kiedy, po paru godzinach, wszystko się w do-
mu uspokoiło, kiedy Dziobatą zabrali do trupiarni,
a resztę — trzema taksówkami, gdzie należa-
ło — na całonocne, wściekle mordobicie — w ciem-
nej, opustoszałej suterenie zaczęło szuścić...

Z dziury koło zlewu wylazły dwa szczury.
Chwilę węszyły niespokojnie, poczem pobiegły
z piskiem do kałuży skrzepłej, ludzkiej krwi.

POCZĄTKUJĄCA AUTORKA

Weszła do gabinetu redaktorskiego i zatrzymała się na progu, splecioną.

— Czem mogę pani służyć?

Spojrzała na przystojnego mężczyznę, który powstał na jej powitanie i stał teraz, oparty o krawędź biurka — i zarumieniła się od stóp do głów. (Była ubrana modnie, więc to nie jest figura retoryczna).

— Jestem... początkującą autorką.

— Aha. Pewnie szanowna pani ma w zanadrzu swoje utwory?

— W... torebce.

— Raczy pani spocząć.

Usiadła.

— Pani już coś drukowała?

— Tak... To jest, właściwie, nie.

— ?

— W jednym piśmie kobiecym... Ale to się chyba nie liczy.

— Dlaczego?

— Takie małe pisemko... Zresztą, to było o firankach.

— O firankach?

— Tak. Podawałam kilka nowych sposobów zawieszania firanek w salonie...

— Aha. — — Proszę mi tedy pokazać, co pani nam przyniosła.

— Kiedy... Ja jestem taka nieśmiała... I wstydzę się.

Zrobiło mu się żal tego młodziutkiego kobietka. Zresztą zauważył już, że jest niewątpliwie ładna. Powiedział miękko:

— Proszę się nie tremować, droga pani. Każdy z nas stawiał kiedyś pierwsze chwiejne kroki na niwie literackiej i przeżywał straszne emocje, niosąc swoje, że tak powiem, „pierwiosnki“ — do oceny starszemu koledze.

— Pan jest strasznie dobry!

— Więc służę pani. Mam właśnie pół godziny czasu. Przeczytamy wspólnie te rzeczy.

— Może pan raczej sam, pocichu...

— Czy to pisane na maszynie?

— Naturalnie!

— Chwała Bogu. Rękopisów, przyznam się pani, już nie potrafię...

Wyjęła z torebki skrypt i podała mu go z wahaniem.

— Tylko ja... Jeżeli pan pozwoli...

Siądę sobie tam, w kąciuku.

— ?

— Naprawdę, jestem taka wstydliva...

— Jak pani każe.

*

„...Henryk oderwał się od jej ust, ale tylko na chwilę“ — czytał — „Potem rzucił się na przód, jak tygrys, i zanurzył swe głodne, wiecznie łaknące męskie wargi w różowym miększu jej warg. I one łaknęły! Wszystko dookoła zawyrowało. Poczuli, że lecą w jakąś czerwoną przepaść, w której bytuje wieczna chuć. Z przeraźliwym okrzykiem rozkoszy stężała w jego ramionach. Przewrócili lampę — —“.

*

Na chwilę przerwał czytanie, przetarł oczy i spojrzał na swoją klientkę, zlekka oszołomiony. Zapytał:

— Proszę pani... Dlaczego oni przewrócili lampę?

— A bo runęli na perski dywan — odpowiedziała z prostotą.

— Aha! Rozumiem.

— To jest dalej. Pan jeszcze nie doczytał.

*

„...Przewrócili lampę“ — kontynuował — „I runęli na perski dywan. W buduarze zapanaowała ciemność zupełna, przerywana tylko od czasu do czasu światłem przelatującego samochodu, autobusu, lub tramwaju, i szmerem oddechów. Pożerali się pocałunkami, jak dwoje ludożerców“.

*

Był trochę zażenowany. Chrząknął.

— Bardzo sugestywne. Bardzo. A propos ludożerców: nie wiedziałem, że się tak lubią całować?

Podniosła na niego wielkie, błękitne oczy. Oczy dziecka.

— Mówił mi mój kuzyn, który jest marynarzem — —

— Że co?

— Że na wyspach Pacyfiku ludożercy są szalenie namiętni.

— Co pani mówi?!

— Tak! Staś opowiadał, że właściwie całe życie nic innego nie robią...

— Staś?

— Mój kuzyn, ten marynarz opowiadał...

— A! — — Ciekawe. Bardzo ciekawe! — —
Więc całe życie — powiada pan Stanisław, pani
kuzyn — — Ludożercy nie innego nie robią, tyl-
ko — — — — ?

Uśmiechnęła się niebiańsko.

— Tylko to właśnie...

— Dzielni ludzie.

Podrapał się mimowoli za uchem. Złożył
ostrożnie maszynopis.

— Proszę pani. Czy pani nie ma przy sobie
przypadkowo innego jakiego utworu?

Zaczęła szukać w torebce.

— Mam. Oto jest.

Rzucił podejrzliwie okiem na tytuł.

— „SOBÓTKA“? Coś ludowego?

— Tak jest.

Odetchnął z ulgą.

— Dobrze, zaraz zobaczymy.

*

„Smagłe nogi Jagny“ — czytał — „migaly
wśród wilgotnej paproci, którą z królewskim
przepychem usłana była łąka. Biegła, jak rusalka,
gibka i zwinna, wydając od czasu do czasu przeję-
mujący, miłosny krzyk. I, kiedy tak leciała rosą,

przed siebie wyrywając, jak piorun z nieba, stanął przed nią Iwo. — Moja-ś! — Ogłuszył ją najpierw krzyk, pijany szczęściem, potem gest. — — Twoja-m! — — Padła mu w mocarne ramiona, jak dęby... Ni-to świetliki, ni-to chochliki, rozgorzały nad młodą dorodną parą sobótkowe ognie... I ziścił się myt Słowian, w gontynach modrzewiowych zazdrośnie zawściągnięty.. Oddała mu się, jak to żywiczne bierwiono, czekające przyjscia cieśli, a on spadł na nią, jak wspaniała kielnia, która wszystko druzgoce — —“.

*

— Droga pani—powiedział z namysłem, dobierając słów. — Mam co do drugiego utworu (który jest też prześliczny!) pewne zastrzeżenia.

— Jakie?

— Pani używa tu, między innemi obrazami, bardzo interesującego obrazu. Porównywa pani Jagnę, *iszczącą myt Słowian*, do żywicznego bierwiona...

— Tak.

— W takim razie dalej — pani raczy mi darować — jest pewne pomieszanie profesji. Zamiast cieśli przychodzi murarz.

— Murarz?

— No, tak. Pani pisze następnie o *kielni*?

— Rzeczywiście...

— W dodatku o kielni, *która wszystko druzgoce*. Czy pani widziała kiedy kielnię?

— No, naturalnie...

— Więc niech mi ją pani opisz.

— Taki... kilof.

— Nie, droga Pani. Kielni używa się do równania i kładzenia cegieł. Kielnią czerpie i kładzie się wapno... To jest, widzi pani, rodzaj takiego trójkątu, osadzonego na krótkiej rękojeści... To nie służy do *druzgotania*... Z kielnią należy się obchodzić ostrożnie, bo inaczej taka kielniaby się nanie popsuła...

Zaczerwieniła się, jak mak, i powiedziała, skubiąc róg chusteczki:

— Nie wiedziałam...

Złożył starannie drugi maszynopis i oddał go, wraz z pierwszym, autorce. Potem poprawił się w fotelu, spojrzał łagodnie na początkującą koleżankę i zaczął:

— Droga pani. Radbym szczerze wydrukować jakąś pracę pani, ale nie mogę, niestety. Oba utwory są bardzo interesujące, bardzo, że tak powiem, kolorowe, bardzo ładne — oba zapowiada-

ją ogromny talent, a może nawet genjusz pani — oba rzeczywiście pełne są tej specyficznie kobiecej wstydlivosti, która posiada tyle czaru! — i która w pani *osobistym* sposobie bycia tak zniewala — ale, daruje droga pani — drukując te utwory, naraziłbym pismo nasze na sprawę z artykułu 281-go kodeksu karnego.

Otworzyła szeroko oczy i przybladła.

— Zaraz pani przeczytam ten artykuł.

Sięgnął po tom, leżący za nim na półce, szukał chwilę, poczem zaczął czytać bardzo dobrotliwie:

„Winny przechowywania na sprzedaż, sprzedaży, publicznego wystawienia, lub innego rozpowszechnienia świadomie bezwstydných utworów, lub wizerunków, będzie karany *aresztem* na czas do miesiący 3-ch, lub *grzywną* do złotych 600. Nadto, jeżeli winowajca jest handlującym, albo redaktorem wydawnictwa perjodycznego, sąd mocen jest pozbawić go prawa handlu, lub prawa być redaktorem, na czas od 1-go roku do lat 5-ciu“.

Zamknął kodes karny.

— Ze stylizacją tego artykułu — powiedział z wielką powagą — niezupełnie się zgadzam. Ustęp „mocen jest pozbawić go prawa handlu lub

prawa być redaktorem“ przyprawia mnie poprostu o newralgję... Ale z *duchem* artykułu 281-go zgadzam się bez zastrzeżeń. Dlatego — — — —

Urwał.

— Dlatego?

— Dlatego radziłbym pani wstrzymać się na razie od drukowania takich utworów i — — — —

Zauważyła, że kąciki jego ust lekko drżą. Mogło to oznaczać, że mu się zbiera na płacz; ale mogło także zdradzać niepohamowaną chęć śmiechu.

— I — — — — ?

— I radziłbym wyjść jak najprędzej za mąż. Ot, chociażby za tego kuzyna, pana Stanisława, marynarza. Po roku pożycia małżeńskiego będzie pani miała wizję znacznie spokojniejszą.

Wstała, obrażona, jak królowa.

— Nie przyszedł do pana po rady matrymonjalne.

Wówczas stało się coś okropnego. Podeszedł do niej, ujął jej główkę oburącz i pocałował ją, zanim zdążyła się opamiętać, w czoło. Była do tego stopnia skonsternowana, że przez chwilę nie mogła tchu złapać. Wreszcie wybuchnęła:

— To jest bezczelność!

— A narażać spokojnego człowieka na 3 miesiące paki, lub 600 złotych grzywny, to nie jest bezczelność?

*

Zostali najlepszymi przyjaciółmi. Rzeczywiście wyszła za tego marynarza. Był na ich ślubie. Ale obecnie tak się rzeczy układają, że ona pewnie rozwiedzie się z marynarzem i wyjdzie za niego. Bo okazało się, że pan Stanisław w swoich opowiadaniach o Pacyfiku grubo przesadzał...

K L A M K A Z A P A D Ł A

Z początku było wino. Dużo wina. Bardzo dużo wina.

Potem — taniec. Dużo tańca. Bardzo dużo tańca.

Potem, nareszcie, t. zw. rozmowa.

— Pani dziś jest, zdaje się, nie w humorze?

— Ja? Z czego pan to wnosi?

— Z wyrazu o c z u pani.

— Cóż pan może wiedzieć o wyrazie moich oczu? Znamy się zaledwie od paru godzin!

— O s o b i ś c i e, tak. Ale przecież znamy się doskonale z w i d z e n i a...

— Z widzenia? Nie przypominam sobie.

— Pani jest niedobra! Nie raczyła mnie pani ani razu zauważyć, gdy ja — — —

— Gdy pan — — — ?

— Spostrzegałem panią natychmiast, kiedykolwiek i gdziekolwiek miałem zaszczyt panią spotkać! Zresztą, pani jest chyba w tej chwili nie-

szczerza. Czyż można pani nie zapamiętać, jeżeli się panią choć raz widziało?!

— Dziękuję za komplement.

— To nie był komplement, tylko prawda!

— Przypuśćmy. Gdzież-to pan mnie spotykał?

— Na balu „Róży“. Po raz pierwszy. Miała pani na sobie uroczą, różową krynolinę, lekką, jak obłok.

— Owszem.

— Potem, na dancingu w Europejskim. Była pani ubrana, jak bóstwo!

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że byłam rozebrana?

— Pani kpi, a ja pamiętam nawet kolor pani pantofelków.

— Jakiż to był kolor?

— Szmaragdowy.

— A, tak. Mam taką zieloną sukienkę...

— Trzeci raz spotkałem panią na konkursach hipicznych. Siedziała pani z Zawadzkimi. W łóż waszej był pozatem jeszcze jeden pan.

— Mój mąż.

— Ach, tak? Wysoki, tęgi blondyn?

— Mój mąż nie jest tęgi. Wysoki, owszem.

— Być może. Nie przyjrzałem mu się wów-

czas uważnie. Moją uwagę pochłoneła wówczas wyłącznie pani... A propos. Czy małżonka pani niema obecnie w Warszawie?

— Nie. Wyjechał za granicę.

— Ach, tak... Na długo?

— Cóż to za inkwizycja?

— Stokrotnie panią przepraszam!

— Niema za co. Interesują pana, jak widzę, moje generałja?

— Interesuje mnie pani, tak jest.

— Więc, jeżeli tak, to służę... Ha, ha!... Nazywam się, jak pan wie, Dąbrowska. Na imię mam Zofja. Lat 26. Od czterech lat jestem mężatką. Dzieci dotychczas, niestety, nie mamy. Mój mąż jest dyrektorem banku. Bawi obecnie w Karlsbadzie. Wraca za miesiąc. Zabiera mnie z tego straszliwego Konstancina i — — —

— To pani teraz mieszka w Konstancinie???

— Z czego się pan ucieszył?

— Z... niczego.

— Bardzo mądra odpowiedź. Otóż, gdy mąż mój powróci, zabierze mnie z Konstancina i pojedziemy oboje na wieś. Do naszych wspólnych znajomych, Zawadzkich.

— Na Wołyn?

— Na Wołyn.

Na tem się narazie ta ich pierwsza rozmowa urwała, bo oboje państwo Zawadzcy, tangujący przez cały czas zapamiętali, wrócili do stolika. Niebawem jednak jazz znowu się ocknął. Zawadzka poprosił do bluesa jakiś znajomy rotmistrz, Zawadzki skłonił się (poprosiwszy wprzód kurtuazyjnie o pozwolenie damy) miejscowej tancerce pannie Mimi (Majchrzak). Zostali znowu sami. Wogóle, tak się jakoś przez cały wieczór składało, że ich wciąż zostawiano samych. Dąbrowską i Korskiego.



— A może pani raczyłaby ze mną zatańczyć raz bluesa?

— Nie, dziękuję panu. Jestem trochę zmęczona.

— W takim razie będziemy kontynuować naszą rozmowę?

— Bardzo proszę.

Dalszy ciąg tej rozmowy, oficjalnie przez pana Korskiego zapowiedziany, a przez panią Zofję zaakceptowany, nie przyniósł (jej, przynajmniej) żadnych rewelacji. Młody człowiek, usiłujący ją sobą zająć z dziwnym uporem, był wciąż jednakowo banalny. Oboje Zawadzcy tańczyli tej nocy

zapamiętała, ona—już wyłącznie z rotmistrzem, on — wyłącznie z eteryczną panną Mimi. Brali widocznie rewanż za wszystkie czasy. Za wołyńskie nudy, niezbyt udatne (podobno) buraki, źle kalkulujący się (podobno) chmiel... A Korski emablował panią Zofję z wzrastającą natarczywością. Zdawała sobie sprawę z tego, że siedzi, poniekąd, z prymitywem. Ale ją ten prymityw męski coraz bardziej bawił. Było coś w sposobie podkreślania pewnych słów, w sposobie patrzenia się Korskiego na nią, w sposobie przysuwania się do niej, co ją trochę irytowało — i trochę rozbrajało.

— Ja się pani dotychczas jeszcze nie wytłumaczyłem z tego Konstancina.

— ?

— Pani była łaskawa zauważyć, że się ucieczyłem, kiedy pani wspomniała, iż mieszka teraz w Konstancinie...

— !

— Otóż, widzi pani, chodzi mi o to, że w Warszawie wizyty mają zawsze charakter bardziej etykietalny. Tymczasem, na letnisku można sobie zupełnie zwyczajnie zadzwonić do furtki zaprzyjaźnionej z nami willi i — — —

— Czy pan jest zupełnie pewny, że willa,

o której pan w tej chwili myśli, jest rzeczywiście z nami za przyjaźnia?

— Rozumiem. Ale mnie pani chyba nie wyrzuci za drzwi, jeżeli pozwolę sobie — — —

— Wyrzucić? Nie. Toby nie miało sensu. A potem, toby było niegrzecznie. Nie wiem tylko, czy panu ta gwałtowna chęć złożenia mi wizyty — jutro nie wywietrzeje z głowy.

— To pani mnie nie zna!

— Istotnie, nie znam pana. Albo znam bardzo mało. Ale proszę. Jeżeli to panu sprawi istotnie przyjemność — — —

— Szaloną!!

— To proszę mnie któregoś dnia odwiedzić. Cały ten tydzień siedzę kamieniem w domu. Tylko niech się pan, błagam, nie zjawia o księżycu. Kładę się wcześniej spać i mam mocny sen. W dodatku, na noc w naszej willi spuszczaają psy z łańcuchów... Ha, ha, ha!

*

Po nocy, spędzonej w Warszawie (panią Zofję odwieziono do domu nad ranem: nie chciała nadużywać uprzejmości Zawadzkich, którzy proponowali jej odwiezienie do Konstancina), trochę niewywczasowana, z nieznośną migreną, wylądo-

wała przed sztachetami swej „Dogaressy“ koło południa. Odesłała firmowe auto, które ją przywiozło, oznajmiając, że przed niedzielą nigdzie się nie ruszy — i weszła na taras willi, z mocnem postanowieniem przespania całego dnia. Okazało się jednak, że z „całego dnia“ wypadnie prawdopodobnie zrezygnować: na stole, w jej buduaru, stał wielki bukiet ponsowych róż. Pokojówka Stasia meldowała:

— Przywieźli to, proszę pani, przed godziną.

Pani Zofja była za bardzo znużona, żeby dociekać, w jaki sposób Korski (róże były od Korskiego) zdołał, w tak krótkim czasie, wyszedłszy o świcie z „Oazy“, dowiedzieć się nazwy willi i wyekspedjować z Warszawy kwiaty. W każdym razie popołudnie przedstawiało się zagadkowo.

Zakomenderowała:

— Stasiu, kąpiel! I do 5-tej po południu nie ma mnie dla nikogo w domu, choćby pioruny były!

— Słucham.

*

Przed 5-tą się Korski szczęśliwie nie zjawił. Zjawił się zato, jak przeczuwała, zaraz po 5-tej. Zajechał przed „Dogaressę“ wspaniałym Roadste-

rem, tak wspaniałym, że się aż zrobiło małe zbierowisko, i zachowywał się wogóle, jak narzeczonny!

— Dla kogo, drogi panie, są te cukry? — spytała pani Zofja, trochę zirytowana: — Ja nie mam starej, łakomej ciotki, ani licznej konsolacji!

— Niech mnie pani, błagam, nie szykanuje!

— Jakże pana mam nie szykanować, kiedy pan mi przywozi pudło, ważące najmniej 5 kilo!

— Mniejszego nie było!

— To się kupuje obok, w sklepie z materiałami piśmiennymi, 25 kolorowych torebek, i rozsypuje ten wagon słodczy na 25 porcyj! Żeby ludzi w oczy nie kłuło!

Korski nie stropił się wcale.

— Nie dbam o pozory.

Pani Zofja zlekka sponsowała.

— Ale ja dbam, kochany panie! Do czego to podobne?

— Co?

— To! Poznaje mnie pan o godzinie 8-ej wieczorem, w teatrze. Idziemy na kolację, asystuje mi pan, nazabój. Od północy do 4-ej rano, to znaczy do białego dnia (teraz dzień, trzeba panu wiedzieć, robi się już o 3-ciej!) pełno pana przy mnie! Przyjeżdżam do Konstancina — róże.

Ledwo trochę odsapnąłem — czekoladki. Czy pan przypadkiem nie ma zamiaru starać się o moją rękę?

Replika Korskiego przeszła najśmielsze oczekiwania pani Zofji.

Odpowiedział bowiem:

— Mam.

*

Po odjeździe Korskiego (odjechał, mimo wszystko, dopiero o 7-ej wieczorem) pani Zofja została sama w willi. Miała w głowie czad. Bo wszystko, co nastąpiło po niesłychanem oświadczeniu jej gościa, cała ich długa, gwałtowna, a nawet chwilami, z jej strony, ostra polemika — graniczyło z groteską!

Kiedy mu, w odpowiedzi na jego kategoryczne: „M a m“ — palnęła verba veritatis i powiedziała, prosto z mostu, że go ma poprostu za narwańca, jeżeli nie półgłówka; że sobie kategorycznie wyprasza wszelkie nadskakiwania; że ani myśli, wzorem wielu pań, nawiązywać z nim flirtu, dlatego tylko, że jej mąż jest nieobecny; że mu życzy jak najlepiej, ale ani myśli się pozwolić kompromitować; tem bardziej, bez cienia (z jej strony!) winy — — —

Korski na to odpowiedział, bez zająknięcia, że to, co robi, to nie jest żadne nadskakiwanie, tylko z a k o c h a n i e się; w niej, pani Zofji; innemi słowy, miłość; że mu ta miłość przyszła, to prawda, nagle, już w karnawale, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy; odrazu; z miejsca; ot, jak udar słoneczny; ale on już jest taki i inny nie będzie; taki ma temperament i organizację psychiczną; zresztą, jeżeli o to chodzi, ma w sobie dużo krwi węgierskiej po babce; a, dając pokój nieboszczce babce, reasumuje: prosi panią Zofję o jej rękę; ożenić się z nią musi; innej formy z a ń s i ę c z y n i e n i a z a s w ą m i ł o ś ć nie widzi; r o m a n s (dosłownie, tak to powiedział!) romansby mu nie wystarczył — — — ! Potem ten warjat jeszcze podkreślił, że się fatalnie składa, że pana Dąbrowskiego w tej chwili niema na miejscu, bo toby znakomicie ułatwiło sytuację. Mógłby osobiście, z punktu, prosić o rękę jego żony. Ewentualnie, gdyby się inaczej nie dało, pojedynkować się z nim, zabić go, no, i ożenić z wdową...

*

Pani Zofja leżała na szeslongu, w swoim bu-
duarku, moralnie wstrząśnięta, fizycznie ogłuszo-

na, i niejako cała zbita. Słowo po słowie, przypominała sobie wszystko, co Korski powiedział. Aż do ostatnich, niesłychanie gwałtownych replik. Rzuciła mu w twarz:

— Jakiem prawem pan mi się oświadcza ze swoją miłością, kiedy ja pana niczem nie ośmieliłam?

A on na to:

— To prawda, że pani mnie niczem nie ośmieliła. Ale miłość niezawsze wybucha jednocześnie. Najpierw wybuchła moja miłość. Pani miłość może wybuchnąć lada sekunda!

Ona:

— Jak pan śmie to mówić, kiedy ja mojego męża kocham i ani myślę się z nim rozwodzić?

On:

— Myli się pani. Męża swojego pani nie kocha. Gdyby go pani kochała, dałaby mi pani dawno w łeb — i rzuciłaby mnie pani ze schodów!

Usiłowała jeszcze — broniąc się coraz słabiej — odparować to ironją. Zauważyła, że kobiety z towarzystwa nikogo nie biją „w łeb“, ani nie „zrzucają ze schodów“...

Nie pomogło. Powiedział:

— W rzeczach miłości kobiety z towarzystwa niczem się nie różnią od pomywaczek, albo

praczek. Kto twierdzi, że jest inaczej, albo nie zna życia, albo kłamie!

Po fatalnej, bezsennej nocy, mizerna, z podkrążonemi oczyma, nieledwie ślaniająca się na nogach, zaczęła się ubierać. Stasię posłała do sąsiedniej willi, gdzie był telefon, i kazała sobie wytelefonować maszynę z Warszawy. Postanowiła uciec z Konstancina. Przynajmniej na parę dni. Bo Korski zapowiedział, że się po południu znowu zjawi. Niebardo jej się uśmiechała perspektywa chowania się przed nim w Warszawie, w pustem, wielkiem mieszkaniu, ogołoconem z obrazów i dywanów, pełnem zapachu naftaliny — z jedną głuchawą starą służącą za cały fraucymer...

Wolała jednak to, niż nowe odwiedziny tego oczywistego szaleńca — nowe cukry, nowe wyznania!

Stasia wróciła z wiadomością, że się pomyślnie dodzwoniła do banku i że maszyna będzie najdalej za pół godziny, aliści, w tej samej chwili, przed tarasem „Dogaressy“ rozdarł się triumfalnie klakson — przerażona pani Zofja zobaczyła znajomy kształt luksusowego Roadstera — i Korski stanął na schodach willi, nieproszony — nie-meldowany.

Nie chcąc wywoływać skandalu, musiała go,

oczywiście, przyjąć. Odesłała pod jakimś pozorem młodszą i wyszła na spotkanie Korskiego, błada jak papier.

— Jaka pani dziś cudna!

Zaczął całować gwałtownie jej ręce.

— Dziękuję panu. Czemu mam przypisać tak wczesną — — — ?

Roześmiał się.

— Jakto, czemu? Przewidywałem, że pani zechce stąd umknąć, i musiałem się śpieszyć, żeby panią uprzedzić!

— Wie pan, że to jest niesłychane!

— Być może. Ale nieubłagane logiczne.

— Czyby pan, panie Korski, nie zechciał niezwłocznie odjechać sobie do Warszawy, zabierając zpowrotem swoją nadzwyczajną logikę — no, i tę drugą porcję róż, których stanowczo nie przyjmę!?

— Rozkaz. Już odjeżdżam. Chciałem tylko zakomunikować pani, że jeżeli mi pani nie da przychyłnej odpowiedzi, wyjadę niezwłocznie do Karlsbadu, dla osobistego porozumienia się z jej mężem. Paszport zagraniczny już mam.

— Czy pan naprawdę oszalał?

— Naprawdę!

— Raz jeszcze powtarzam panu wyraźnie i dobitnie: nie kocham pana.

— Raz jeszcze powtarzam wyraźnie i dobitnie: kocham panią. A co do wzajemności — to jest tylko kwestja czasu.

— Nie mam na tę zuchwałość żadnej odpowiedzi. Żegnam.

— Moje uszanowanie pani. Uprzedzam, że w Warszawie ulica Czackiego będzie oblegana! Drgnęła.

— Panby śmiał?

— Śmiałbym!

— Co ja panu zrobiłam, że mnie pan tak prześladowuje?

W gardle pani Zofji załamał się głos. Piękne jej oczy napełniły się łzami.

Ale Korski w tej samej chwili buchnął przed nią, jak student, na oba kolana.

— To mi pani zrobiła, że już bez pani żyć nie mogę!

*

Firmowa maszyna odjechała do Warszawy, pusta. Pani Zofja została w Konstancinie, wymógłszy tylko na Korskim słowo honoru, że jej już ani dziś, ani jutro nie odwiedzi. Wzamian za

to musiała mu dać słowo honoru, że się z Konstanciną ani dziś, ani jutro, tajnie, czy jawnie, nie ulotni...

Jeszcze tyle wskórał, że go miała przyjąć „na krótko“, pojutrze, dla odbycia definitywnej rozmowy. Ta „definitywna“ rozmowa była, zdaniem jego, konieczna.

*

Strasznie ciężka jest bezsenna noc. Zwłaszcza w lecie, przed burzą. Głowę człowieka ściskają rozpalone obręcze. Lekka kołdra ciąży nieznosnie. Najsubtelniejsze dotknięcie pajęczej bielizny drażni skórę do bólu...

Pani Zofja leżała nawznak, rozpalona, nie mogąc zmrużyć oka. Było już bardzo późno...

Przez mózg jej przechodziły ostre, dziwne sztychy myśli, którychby się nigdy nie spodziewała.

— Miłość... Co to jest właściwie ta miłość? Sam tylko zamęt zmysłów, gorące pożądanie, czy jeszcze coś więcej? I co to znaczy: kochać? Poznać normalnie człowieka eleganckiego — tak, jak ona poznała swojego męża — uzgodnić (tak, jak to uzgodniono przed zawarciem jej małżeństwa) między dwojgiem osób

zainteresowanych — i między rodzinami tychże osób wszystko, co dotyczy zarobków jej o, renty jej, przyszłego mieszkania, umeblowania, trybu życia, wyjazdów zagranicę, ewentualnego potomstwa — czy też, tak, ot, jak u Korskiego — jak w wypadku z Korskim! — dostać nagle zawrotu głowy, manji prześladowczej, napadu miłosnej furji — obalić wszelkie formy i przyjęte zwyczaje — albo, przynajmniej, dążyć do ich obalenia — i postawić życie na jedną kartę, ryzykując szczęście własne i cudze — chcieć się związać z drugą osobą — nie znając jej charakteru, zalet, wad, przyzwyczajzeń, uprzedzeń, inteligencji, zasobów materialnych — nie wiedząc, co ta osoba lubi, a czego nie lubi — czy jest impulsywna, czy lubi się często przechadzać po ogrodach miłości — czy się raczej szybko nuży takimi przechadzkami?...

W tym momencie dręczących rozmyślań panią Zofję owładnął jakiś dziwny, dotychczas nieznaný jej rodzaj podniecenia.

Uświadomiła sobie, że żyła dotychczas właściwie bardzo rozsądnie — ale też tylko o rozsądnie. Ich wzajemny stosunek z mężem był bardzo spokojny i odrobinę... szary. Jej mąż był od niej znacznie, znacznie starszy. Miał za sobą

ogromny szmat własnego, zamkniętego przed nią, życia. Pewne rzeczy już go nie bawiły. Pewne rzeczy już mu się, zdaje się, przejadły. Był ogromnie pochłonięty procesem robienia pieniędzy. Kochał ją, owszem, ale dosyć powściągliwie. Dbał o swoje zdrowie, bo mówił, że mężczyzna w okolicach 40-ki musi się zacząć „szanować“. Do ojcostwa zbytnio nie tęsknił. Powiedział jej kiedyś, że „na to będzie zawsze czas“. Niepokoił się zato bardzo faktem, że zamierzona oddawna fuzja banków Północnego i Południowego przeprowadza się tak opieszale. Że, wskutek tego, posiadany przez niego portfel akcji jego banku znajduje się wciąż, do pewnego stopnia, pod znakiem zapytania...

Wszelako, mimo takiego racjonalizmu, pozwalał sobie, od czasu do czasu, na pewne „licencje“. Dowiedziała się o tem, oczywiście, przypadkowo, od „życzliwej“ przyjaciółki, ale się dowiedziała. To, co robił, robił nadzwyczaj ostrożnie i dyskretnie. Ale robił. Zapewne poto, żeby nie wyjść zupełnie „z treningu“ — jak mawiają mężczyźni. Ot, i teraz. Nie miała zupełnej pewności, czy ta ładna, utleniona pani Wiga (bywająca u nich ostatnio dziwnie rzadko!) nie zboczyła czasem, po drodze do Biarritz, do miłego Karlsbadu...?

Pani Zofja zerwała się z łóżka, otworzyła na-
oścież okno sypialni. Potem wypła duszkiem
szklanke wody sodowej.

— Boże, jaka ciężka noc!

*

Przeszkadzały jej — jej własne włosy. I jej
własne piersi, takie drobne...

Przeszkadzało jej — własne ciało...

*

Nad ranem rozpętała się burza. Przyszła,
dawno oczekiwana, a mimo to przyszła, w ostat-
niej chwili, znienacka. Zahuczała bliskimi grzmo-
tami. Oznajmiła się ostrym trzaskiem piorunów.
Drzewa, rosnące dookoła willi, zaczęły szumieć
głucho i niespokojnie. Lunał deszcz. Upalny, rze-
sisty. Zielono-niebieskie błyskawice zatańczyły
w oknach domu. Nagromadzona w powietrzu
elektryczność poczęła się wyładowywać z ra-
dosną frenezją. Ożywczo zapachniały kwiaty i li-
ście. Rozpostarł się odurzający ozon...

Pięknie fiolety, zasłaniające otwarte okna —
wątła przeszkoda dla radujących się żywiołów! —
nasiąkły deszczową wodą. Bo pani Zofja nie bro-
niła burzy wstępu do swojej sypialni...

Białość dnia zastała samotnicę w ogrodzie. Burza przewalała się gdzieś dalej. Na ścieżkach stały małe stawy. Liście akacyj i lip perliły się ciężkimi kropkami...

Pani Zofja stanęła przed młodziutkim, srebrnym świerczkiem, posadzonym w ubiegłym roku na środku gazonu. Dotknęła zlekka brylantowych szpilek. Potem w nagłym, nieoczekiwanym porwy przygarnęła do serca gałązki. Fontanna deszczowych kropli zrosiła jej szyję i piersi. Poczuli, jak te krople ściekają, zimnym różańczykiem, na jej niespokojne serce. Jak chłódzą jej skórę. Jak lehcą ją całą...

Roześmiała się cicho, jak uradowana dziewczynka — potem, wzdrygnąwszy się z chłodu, pobięła do sypialni.

Wszystko spało.

*

A nazajutrz, obudziwszy się późno, napisała do Korskigo list...

List był krótki.

„Nie wiem, czy czynię dobrze, czy źle — pisała: — Nie wiem też, czy mojem postanowieniem, powziętem dziś, o świcie, nie przypieczętuwuję czasem własnego szczęścia, które było nie-

duże, przyznaję, ale realne. Kłamka zapadła. Upoważniam Pana do skomunikowania się z moim mężem. Na pewno nie mogę jeszcze powiedzieć, czy Pana kocham. Mogę tylko powiedzieć na pewno, że nie kocham męża. Chciałabym wiedzieć, czy Pan jest dobry? Mądry? Wierny? Biada Panu, jeżeli Pan jest tylko... odważny. Ani dziś, ani jutro proszę mnie nie odwiedzać. Boję się, żeby mi Pan czasem, jakimś niebaczny słowem, jakąś zuchwałością, nie popsuł obrazu, który sobie namalowałam. Jeżeli ten list sprawi Panu radość (dalej było parę wyrazów zamazanych i podejrzana plama atramentu) proszę (tu był znowu jeden wyraz zamazany) uspokoiwszy się, przyjechać pojutrze po zaręczynowy pocałunek“.

Do biura P. I. W. A. (Pierwszej Intelktualnej Wytwórni Artystycznej) zadzwoniono z redakcji „Formingi“ o godzinie 15-tej minut 10, to znaczy w porze, kiedy sekretarz P. I. W. A. normalnie urzęduje. Tak jest, sekretarz P. I. W. A. powinien był jeszcze, teoretycznie rzecz biorąc, urzędować. Ale traf chciał, że właśnie godzinę wcześniej z a u r g o w a n o go na miasto. Grono przyjaciół zatelefonowało po niego w sposób wręcz alarmujący.

— S. O. S.! — Przyjeżdżaj niezwłocznie na rybkę! — Czekamy u Simona i Steckiego.

I pan Adam Powielacz, filar instytucji, wywiązał z biura piorunem.

Telefon „Formingi“ odebrał tedy woźny, Józef Szumny.

Słówko wyjaśnienia. Józef Szumny zastępował nieraz pana Powielacza i wywiązywał się z zastępstwa wprost genialnie. Tego dnia jednak,

nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, miał też w godzinach rannych jakąś „rybkę“. Nie był zupełnie trzeźwy. Wiadomo, przed świętami.

— Allo!

— Słucham.

— Biuro P. I. W. A.?

— Tak.

— Tu redakcja „Formingi“. Przy aparacie kierownik literacki, Okreskowany. Czy mogę prosić do aparatu kolegę Powielacza?

— Wyszed.

— Ach, to fatalnie... Mamy taką pilną sprawę... A kto tam jest z personelu?

— Z per...sonelu? Jezdem ja, Szumny.

— Okreskowany. Bardzo mi miło. Mam taką sprawę do pana kolegi...

— Jazda!

— Potrzeba nam nagwałt noweli gwiazdkowej, na 300 do 400-tu wierszy.

— Jest! I nie jedna, paniedziejski, a tuzin.

— Wybornie. Bo nam zaraz potrzeba. Nasi zwykli dostawcy wszyscy się, psiakrew, pochorowali, a ja, doprawdy, nie mam do tego głowy...

— Panu... ze śniegiem, czy bez?

— Proszę?

— Mówię: ze śniegiem, czy bez?

— Nie rozumiem.

— O, Jezu, jaki pan nierozumiejący. Pytam, jaka ma być ta nowela? Ze śniegiem, z polskim lasem i choinami, czy zagraniczna gwiazdkowa, z jendykiem i z reweljonem?

— Aaaa... rozumiem! Hm... A jak szanowny pan radzi?

— Jabym, paniedziejski, radził ze śniegiem. Tetam francuskie Gwiazdki, i inne zamorskie, do chrzanu. Słyszane rzeczy, żeby na Boże Narodzenie drukować nowele mięsne?! Polska jezd katolicki kraj i każdy w te pore woli z postem. Chyba, że socjalista. Nie?

W telefonie zapanowała przez sekundę cisza, poczem literacki kierownik „Formingi“ zapytał, zlekka zaniepokojony:

— Pardon. Czy ja nie rozmawiam przypadkiem... z panem woźnym?

— Z woźnym, owszem. Bo co?

— Hm...

Ubodło Szumnego to wahanie się i to chrząknięcie w tubie.

— Jeżeli pan myślisz, że ja panu nie mogę tak samo dobrze sprzedać towaru, jak pan Powielacz, to nie trza piasku do herbaty. Dzwon pan jutro. Adje.

— Zaraz, zaraz! Niech się pan, kochany panie woźny, nie obraża. Nowela jest nam, widzi pan, potrzebna zaraz. Musimy ją dziś jeszcze złożyć, bo jutro wszyscy zecerzy maszynkowi będą pijani w sztok... Sam pan wiesz.

— Wiem. Nato święta! Tylko poco w takim razie, paniedziejski, tyle fasonu? Wiem, gdzie co leży, na jakiej półce. Każde szczegóły wiem. Mogie pana zreferować w jedne sekundy! Z dzieckiem panu, czy bez dziecka?

— Jakto?

— No, mówię: z dzieckiem, czy bez dziecka? Mamy i tak, i tak. Numer 1235 sama matka idzie bez las, płacząca, a potem marznie. Numer 1236 idzie z malcem.

— I też marznie?

— Musowo.

— Hm... A niema tam czasem czegoś weselszego?

— Jakto niema? Musi być! O, na przykład dwa numery dalej zaczyna się serja „Pogodne“. Dobry jest numer 1238. Bardzo dobry!

— No?

— Wigilja morowa... Sześć gatunków ryby... Śledź, szczupak, karaś, leszcz, karp i sandacz, paniedziejski... Węgierskie wino po pradziadku

kasztelanie... Fajno, tylko młodego dziedzica brak...

— Dlaczego brak?

— Złamał nogie na polowaniu i teraz go niosą...

— A czegoś jeszcze weselszego pan nie ma?

— Pytanie! Od numeru 1240-go idzie serja „Wesołe“.

— O! Coś dla nas!

— Mamy takie wigilje u jednych hrabiów, uważa pan. Francuska mademoiselle nie wie, że dzieci ją bardzo kochają, i dopiero się dziwi, kiedy znajduje na swoim talerzu dwa brylanty! Jeden, pod serwetą, od hrabiego, w sekrecie przed żoną. A drugi od nich...

— Od kogo?

— Od dzieci hrabskich, no! Duży, jak orzech!

— ?

— One go skradły swojej matce, hrabini.

— Eeeee?

— Jak Boga kocham!

— Lepiej co innego.

— Ale pan wybredny, słowo daję! Inne redakcje biorą, co jest.

— „Forminga“ jest pismem o wysokim poziomie literackim, mój panie.

— Wiem, wiem. Co to u nas było śmiechu w zeszłym miesiącu, kiedy pan Powielacz przyniósł numer „Formingi“ i pokazywał okładkie... Ha, ha, ha.

— Wiem, z tym hipopotamem. Każdemu się może zdarzyć.

— Ha, ha, ha! — „W swej niebezpiecznej podróży po morzach polarnych spotykał kapitan Scot całe stada tych potężnych ssaków“ — ha, ha, ha.

— Zwyczajne przeoczenie korektora. Metrampaż poplątał podpisy. Chodziło, naturalnie, o lwa morskiego!

— Pies z nim polkę tańczył, z waszym lwem morskim! Oj, było śmiechu...

— Schowaj pan sobie swoje śmiechy na inną okazję! — Jeszcze jakie nowele ma szanowne P. I. W. O.?

— Pan sobie naszym piwem gardła nie płócz! Żeby nie my, toby połowę pism warszawskich i wszystkie prowincjonalne szlag trafił! Ten Rubinstein, co nas pierwszy wymyślił przed 25-ciu laty, za czasów Powszechnej Wystawy Krajowej, to był cichy filantrop! Nie mielibyście

literackiego materiału, i już! A teraz, krótkiem zdaniem: chcesz pan te nowele gwiazdkową z Francuzką?

— I ze skradzionym brylantem? Merci!

— To bierz pan w takim razie numer 1241. Szlagier!

— O co tam chodzi?

— Poznali się w Egipcie i dali sobie słowo, że zjedzą razem wigilję, bo ona jest okrągła wdowa, a on okrągły sierota. I z uderzeniem, uważa pan, godziny 5-tej, kiedy gwiazdy się pokazują, i wszystko, jak należy, słyhać sanie przed pałacem i on staje na progu!

— Dobrze.

— A potem on ją całuje w rękę i łamie się z nią opłatkiem, i siadają do stołu, i piją barszcz, a ona się czerwieni i pyta, czy może jeszcze barszczu chce? A on na to, że barszczu nie, tylko że ją chce za żonę. No, i zaręczają się. On ma w Łodzi stryja, wielkiego fabrykanta. Jadą po błogosławieństwo. Czteryśta wierszy, jak obszył.

— Biorę! Ile?

— Poczekaj pan, zaraz zobaczę.

Szumny poszedł trochę chwiejnym krokiem do przyległego pokoju i sprawdził w cenniku. Numer 1241 wyceniony był na 300 złotych, ale na

marginesie znajdowała się adnotacja ołówkiem:
„Po 20.XII można sprzedać z rabatem 25%”.
Wrócił do aparatu.

— Allo! Pan jest?

— Jestem, jestem.

— Numer 1241 — 300 złotych.

— Trochę słono!

— A panbyś chciał mieć miasto Egipt,
i okrągłą wdowę, i sierotę, i barszcz z uszkami —
za ile?

— Dam 200.

— Ani mowy. Nas samych drożej kosztowało.
Wie pan, ile daliśmy Stowarzyszeniu Chałup
ników Literackich za tuzin nowel gwiazdkowych?
Dwa razy tyle, co w zeszłym roku! Jak Boga ko-
cham!

— No, niech będzie 225.

— 250 — i ani grosza taniej.

— No, dobrze. Biorę. Zaraz panu przysię-
czek. Proszę wydać oddawcy maszynopis.

— Nie inaczej, jak za gotówkę! Panna Wsia-
dło, nasza inkasentka, pojechała na narty do
Krynicy. Niema komu godzinami w P. K. O. wy-
stawać za czekiem.

— To może po świętach?

— Innemu pan to powiedz, nie mnie!

— Koniecznie gotówką?

— Koniecznie.

W tubie rozległo się westchnienie.

— Przyślę gotówkę. I niech pana, panie woźny, szlag trafi!

— Nawzajem. Wesołych świąt!

Niewiadomo, czy alkohole, które Józef Szumny konsumował tego dnia w barze pod Syreną, były takie tęgie, — czy też genjalnemu woźnemu uderzył do głowy aromat trzydniowych ferij? Dość, że stała się rzecz okropna. W gwiazdkowym numerze „Formingi“ wydrukowano nowelę... wielkanocną! Przedtem tego, oczywiście, nikt nie czytał, bo odkąd istnieje prasa, w żadnej redakcji nie czytano nigdy literackiego odcinka. Korektor korygował mechanicznie, łamano mechanicznie, rewizję przejrzano mechanicznie, odbito, rzecz prosta, także mechanicznie...

Nowela, zatytułowana „G o ś ć z E g i p t u“, przypominała zresztą, jak dwie krople wody, nowelę, której treść Szumny ze wszystkimi detalami opowiedział nieszczęsnemu kierownikowi literackiemu „Formingi“. Tylko, gdzie tam był śnieg, tu były bzy; gdzie tam była strucla z makiem, tu był mazurek czekoladowy... Kto mógł przewi-

dzieć, że się Szumnemu poplączą dwie nowele tego samego pochodzenia („Stowarzyszenie Chałupników Literackich“) i że wyda gońcowi „Formingi“ utwór z teki, zapobiegliwie i przezornie przygotowywanej na cały rok bieżący?...

Boże Narodzenie było na półce A-I, a Wielkanoc na półce A-II...

ROŚLAN W ŚRÓD DAM

Nowela zakopiańska, zimowo-wysokogórska, narciarsko-lekko-atletyczna, zupełnie pozbawiona erotyzmu. Zaleca się umieszczenie tej noweli w wypisach szkolnych dla klasy II-ej.

„Pieszczotka“ w poruszeniu. Podłogi trzeszczą. Schody trzeszczą. Drzwi trzeszczą. Łóżka trzeszczą. Stare panny trzeszczą.

— Rosłan przyjeżdża! Rosłan przyjeżdża!
Bieganina.

Nietyle sensacyjne jest to, że słynny narciarz i taternik przyjeżdża do Zakopanego — (dokądże, u diabła, ma jeździć narciarz?) — ile sensacyjny jest fakt, że Rosłan tym razem „zatrzyma się“ w „Pieszczotce“. Tak, proszę państwa, w „Pieszczotce“.

Nie w „Tristolu“, nie w „Strasznym dworze“, nie w „Miramarze“, nie w „Ta — na to“, nie w „Perskiem oku“, ani u Karasiewicza — jeno w „Pieszczotce“!

Zresztą, za pozwoleniem! — Niema się znów czemu tak bardzo dziwić. — Czemże nie dorównywa ten pensjonat innym pensjonatom? Czy nie widać może z okien jadalni... Giewontu? — Czy niema hallu? — Owszem, jest hall!

— Kto powiedział, że to jest poprostu przedpokój? Na pewno ta gruba Pędzichowska z „Libawy“... Oho! Wiemy dobrze, dlaczego tak oczerania „Pieszczotkę“. Złości się babsko, że mieszka ją u niej same żydy!

Pani radczyni Kasprzykowska promienieje. No, bo ostatecznie przyjazd Rosłana jest ewenementem. Zrobi pensjonatowi szaloną reklamę. Bagatela! Chłop jak tur, przystojny, sportsman pierwszej klasy, kawaler... Kawaler! Słusznie promienieje kochana gaździna.

Na obiad jest, jak zwykle: rosół, sztuka mięsa, brukselka. Ale legumina! Legumina!...

— Budyń z sosem szodonowym!

A co? Miał rację Rosłan, wybierając „Pieszczotkę“, czy nie miał?

Rozmowa przy stole toczy się zrazu zwykłym trybem. Nie wypada przecież okazywać zbytningo zdenerwowania z powodu...

Tedy konwersacja obraca się koło tematów potocznych: Pogoda... Panna Minia zaczyna do-

skonale jeździć na nartach... Pannie Wini jest do twarzy w krótkich włosach... Panna Linia fotografowała się dzisiaj u Stefy... Makuszyński jest prze-zabawny... Widziano w Kościeliskiej pana Dzim-bierskiego w towarzystwie tej... no, tej, z utlenio-nemi włosami, aktorki...

Ale nagle pan Józio, piegowaty maturzysta, jedyny przedstawiciel płci brzydkiej przy stole, (rozrywają go panie: Aldona, Marja, Helena, Janina, Mira, Róża, Zofja) — nagle pan Józio rzuca mimochodem słowo: Telemark.

— Ach! Byłabym zapomniała — odzywa się niedbałym akcentem pani Kasprzykowska: — Dostałam depeszę ze Lwowa. Przyjeżdża do nas na dłuższy czas pan Rosłan, znany narciarz.

— Czy to ten sam, który zrobił w lecie pierwsze wejście na Złamaną Poręcz z północnej strony?

— Ten sam.

— Podobno fenomenalnie skacze? — informuje się pani Aldona głosem znakomicie obojętnym: — Czy to prawda?

— Prawda!

Dłużej już niesposób panować nad nerwami. Wybuchają, jak lawa, płomienne dialogi.

— ...Tak, proszę pani, bez przewodnika, w sierpniu.

— Dwadzieścia pięć????

— ...Tak, dwadzieścia pięć metrów liny. Zjechał na czekanie, o krok od przepaści!

— ...Bez asekuracji?

— Roslan? Przecież on ma sobą pięć sezonów w Dolomitach!

— Czy to prawda, że był w Afryce?

— Owszem, podczas wojny. Wszedł na Kili-mandżaro.

Coraz goręcej przy stole. Liberja, t. j. umorusana Kasia i wiecznie senny Stasiek, pięć razy usiłuje zdjąć obrus ze stołu i odsłonić sakramentalną ceratę. Napróżno...

— Potem, potem!

„Pieszczotkę“ opanowuje istna frenezja.

— Roslan? Dwa majątki na Podolu.

— Roslan? Nikt tak nie tańczy tanga, jak Roslan!

Smukły, jak sosna... (nie, jodła, jodła!) —
Silny, jak Carpentier... (Przed złamaniem nosa) —
Skacze lepiej, niż Czech... (Czy Sieczka) —

— Niezłomny!

— Niezłomny, niezłomny — (marzą panie: Aldona, Marja, Helena, Janina, Mira, Róża, Zofja).

Złamany jest zato pan Józio. Trzy razy usiłował dotknąć pod stołem kolana sąsiadki, co było by przyjęte kiedy indziej dosyć dobrze... Zmierzo no go wzrokiem. — Jakim wzrokiem! To spojrzenie powiedziało mu wyraźnie:

— Smarkacz!

Więc, odsuwając nagle krzesło, wychodzi z jadalni pan Józio, mając „śmierć w oczach“. Niestety! Nikt tego nie widzi...

Pani Kasprzykowska porusza bardzo delikatny temat. Hm... Jak to będzie z pokojem dla pana Rosłana? Jest wprawdzie jeden pokój wolny, ale nie widać stamtąd Giewontu... On, co tak uwielbia Tatry...

Z pokoju pani Aldony doskonale widać Giewont. Pani Aldona oświadcza naraz, że gotowa jest odstąpić swój pokój panu Rosłanowi. — Ach, mój Boże... Prosta towarzyska uprzejmość... Tylko stawia za warunek, że przeniesie się do pustego pokoju obok. No, do tego, który „leży“ obok.

Nieszczęsna pani Aldona! Zanim się spostrzegła, już nie pokój „leży“—ona leży! I jak jeszcze leży!

— To dziwne — cedzi znana z ostrego języka pani Marja: — przedtem pani kochana ani

rusz nie chciała tam mieszkać... Czyżby sąsiedztwo pana Rosłana miało dla pani tyle uroku?

Panny: Minia, Winia, Linia krztuszą się ze śmiechu. Wiedzą, że nie mają żadnych szans w tym turnieju. Niech-że się przynajmniej te podle mężatki poczubią!

— Nie widzę w tem nic dziwnego — broni się, ponsowa jak mak, pani Aldona: — Przedtem bałam się spać sama w narożnym pokoju... Teraz, gdy obok mnie będzie mieszkać mężczyzna, będę się czuła lepiej!

Pani gaździna odracza rozprawę do kolacji, Rosłan przyjeżdża dopiero jutro, popołudniu. Można się będzie do tego czasu porozumieć.

Panie rozchodzą się do swych pokoiów.

Gaździna przez chwilę walczy z wielką pokusą; takby chciała umieścić Rosłana obok swojego pokoju, na parterze... Miałby wejście wprost z hallu... Nie, niemożliwe. — Te baby narobiłyby piekła. Przeniosłyby się może nawet do innych pensjonatów. — Nie można!

W międzyczasie zaglądają do pani radczyni poufnie i pokolei — wszystkie mężatki. Każda robi jakąś propozycję, tylko że wszystkie propozycje są zbliżone do propozycji pani Aldony...

Ostatecznie, tworzy się po kolacji coś w ro-

dzaju „Komisji rzeczoznawców“. Staje na tem, że „Szczęsny Roslan“ zamieszka osobno, w malutkim domku jednoizbowym, stanowiącym, że się tak wyrazimy, aneks „Pieszczotki“. Będzie tam miał idealną swobodę. W małej, własnej sionce będzie mógł wygodnie umieścić swe sprzęty turystyczne i narciarskie: czekany, ciupagi, liny, buty, raki, haki, plecaki, koce, race, lunety, sygnały, sztucery, aparaty fotograficzne, termosy, termometry, barometry, namioty — no, i narty. Narty przedewszystkiem!

— Czy i siatki na motyle?

Oczywiście, że nie. W zimie są niepotrzebne w Tatrach. Co innego, Kilimandżaro!

Komisja rzeczoznawców zadowolona jest ostatecznie z formuły odszkodowań. „Ani mnie, ani tobie“. Wszystkie panie udają się na miejsce. Stwierdzają, że „orzeczenie“ nie wypadło znów tak bardzo głupio. Aneks „Pieszczotki“ leży blisko, a zarazem jakby na uboczu. Wejścia nie wi dać z pensjonatu.

— Może to i dobrze?

Zaczem „Pieszczotka“ udaje się na spoczynek. Panie są mile podniecone i zdenerwowane. Nikt nie idzie tego wieczoru na dancing.

Wszystkie śpią źle. Łóżka trzeszczą. Podłoga trzeszczy. Drzwi trzeszczą...

.

Długo w noc miałą strasznemi ozorami panny Leokadja i Monika, leciwe kuzynki radczyni. Obie przeszły już lata balzakowskie. Siedzą w tem wstrętnem Zakopanem w lecie, siedzą w zimie i pomagają „tej pocziwej Łusi“ w prowadzeniu pensjonatu. Od ciągłego patrzenia na Giewont skwaśniały na ocet. Nienawidzą gór, nienawidzą górali, furek, turystów, narciarzy...

Siedzą tu, bo muszą. Inaczej nie miałyby z czego żyć.

— Rosłan! Ha, ha, ha... — Sodoma — Gomora!...

II.

Odkąd zamieszkał w „Pieszczotce“ Rosłan, Szczęsny Rosłan, jaśniej świeci słońce.

Razem zbielała nieziemską karnacją niewieścich dekoltów, pogłębił się szkarłat figlarnych warg, zaróżowiły się paznokietki, rozdokazywały rzęsy...

Houbigant, Coty, Lohse, Komispol, Puls i ... skład apteczny Tomaszewskiego — zarabiają krocie.

Pani Aldona pojechała do Krakowa, niby to na spotkanie męża, w rzeczy samej—po peignoir. (Gdzie Kraków, gdzie Mejszagoła?)

Pani Marja kupiła sobie cztery pary prawdziwych jedwabnych pończoch.

Pani Helena...

Nosi się teraz suknie pstre. Więc wszystkimi kolorami zagrała „Pieszczotka“: kolorem zawstydzonej wiśni, naiwnego szpinaku, złośliwego grynszpanu, jarkiego bursztynu, utopionego koralu....

Żorżety, marokeny, fulary, krepdeszyny, welury, tafty, fulguranty, defiguranty...

Nie mówiąc już o kratach: duże, małe, proste, skośne, apokaliptyczne...

A koafjury!

Bubenkopf, Biedermeier, Burne-Jones, Mańka-Gwóźdź...

A dessous!

Szczęśny Rosłan chodzi między tem wszystkim, jak pijany. Zrazu ogarnął go blady strach. Ale po paru dniach pobytu w pensjonacie zaczą-

dział. Pani Mira gra mu całymi dniami tango „Lolita“.

Pani Aldona łupi w międzyaktach Blues „Na falach szau“.

Skutek jest taki, że Rosłan któregoś dnia przypasuje narty i chce się przejechać kwadran-sik, ale o trzy kroki za pensjonatem wywala się na równej drodze — on, mistrz nart, fenomenalny skoczek, rekordman!... Tak go te tanga i Bluesy wzięły...

Daje spokój nartom. Idzie z paniami do Trzaski i tańczy przez sześć godzin...

Zrazu, po przyjeździe, sprawił paniom pewien zawód. Spodziewano się go w pluszowym, albo lodenowym dressie — w grubych swetrach — przyjechał w najzwyczajniejszej marynarce. Lin nie przywiózł. Czekanu także nie przywiózł. Gdy go spytano o raki, odpowiedział z uśmiechem, że je lubi... w potrawce.

Ale potem!...

Wynikła raz żartem kwestja siły mięśni. Chwycił wówczas na ramiona panie Aldonę i Marję (150 kilo żywej wagi) — i zaniósł je bez wysiłku na drugie piętro „Pieszczotki“. To rozumiem!

Gdy się jeszcze okazało, że wprawdzie Szcę-

sny Rosłan zna Afrykę tylko z fotografii, że zato zrobił istotnie wejście na Jungfrau — zadecydowały damy, że Jungfrau zupełnie nie ustępuje górze Kilimandżaro, a wchodzenie na nią przynosi zaszczyt mężczyźnie i ma jakiś wdzięk specyficzny.

Oczywiście wszystkie się w nim kochają.

Erotyzm skwierczy we wszystkich szczelinach i spojeniach „Pieszczotki“, zupełnie jak żywica, którą się poci ta zacie zbudowana willa w letnie dnie upału.

Co krok czyhają na Szczęsnego Rosłana jakieś sidła. Co krok!

Ledwie przetaił oczy — wpada przez uchylone dyskretnie drzwi — pęk fiołków alpejskich. (Botaniczna nazwa: gduły).

— Chlup, prosto w kawę!

(Djabli nadali)

Idzie, jako — tako ogarnięty, reklamować drugą szklanę kawy.

Spotyka na kurytarzu panią Aldonę w nieprawdopodobnie kuszącym negliżu.

— Tak wcześniej?

Pani Aldona pachnie jeszcze snem. Jest urocza. Tylko, dlaczego ta kobieta ma wiecznie podkrążone oczy...?

Szczęśny Roślan idzie dalej. W pensjonacie, zdaje się, jeszcze śpią. Nie dziwota. Wczoraj tańczono w Jamie do czwartej rano...

Wchodzi do kuchni.

Rozmamlana Kasia myje podłogę. Podetknęła sobie kieckę powyżej kolan. Na widok Roślana wybucha idjotycznym śmiechem:

— Hi, hi, hi, hi...

(Poco ta dziewczyna pokazuje całe łydki?)

— Kasiu, proszę o kawę.

— Jakoż fcecie kawy. — Hi, hi, hi — kiewom psyniosłam?

Roślan udziela potrzebnych wyjaśnień.

Wraca do swojego aneksu. Przechodząc przez „hall“, spotyka gaździnę.

Pani radczyni ubrana jest w piękny satynowy peignoir Tut-Ank-Amen...

— O, ranny ptaszek z pana! Jakże się spało?

— Dziękuję, doskonale.

— Coś mi pan mizernie wygląda.

— Czuję się znakomicie.

— Powinien pan więcej odpoczywać...

— Ależ ja nic innego tutaj nie robię, proszę pani!

Pani Kasprzykowska grozi mu figlarnie paluchem.

Poczem, najniespodziewaniej w świecie, wzdycha:

— Ach, jacy wy, mężczyźni, jesteście szczęśliwi...

Rosłan mimowoli wzrusza ramionami i wraca do siebie. Po drodze spotyka jeszcze panie: Helenę, Janinę, Mirę, Zofję...

.

Po dwóch tygodniach rzeczy tak się mają:

Powiedziano mu dwadzieścia razy: „Ty łobuzie rozkoszny!” — Piętnaście razy: „Pan jest łotr, ale piękny łotr!” — Sto razy: „Podoba mi się pan do szaleństwa!”

Najwięcej niepokoi Rosłana pani Aldona. Wdarła się któregoś wieczora do jego pokoju, rzuciła mu się na szyję, wycalowała, wycalowała, wycalowała — a potem, gdy już gotów był postąpić z nią, jak gentleman — raptem jęknęła ze śpiewną kresową histerją: „Ja kocham mojego męża!” — gdy mu zaś naskutek tej rewelacji opadły... ręce, zawołała: — „Co pan ze mną wyrabia!?” — i wybiegła.

Wobec tego Szczęsny Rosłan przyszedł do wniosku, że ma właściwie tylko trzy drogi:

I) Albo wybierze jedną z pań i nawiąże

z nią namiętny romans — (pozostałe zawrą wówczas przymierze i zgładzą jego kochankę zapomocą jakiegś trucizny, działającej piorunująco)—

II) Albo wybierze je wszystkie i będzie miał dwanaście romansów — (co w rezultacie zlikwiduje go w tempie równie szybkim) —

III) Albo strzeli sobie w łeb!

Wobec czego zdecydował się iść na tydzień w góry.

III.

Oczywiście, dużo było przesady w opowieściach o niezwykłych czynach Rosłana. Nie uczył Chmielowskiego taternictwa. Nie dawał lekcji wspinaczki Świerzowi. Nie brał na barana Znamięckiego. Nie odprowadzał za rękę do schroniska zabłąkanego i splakanego Zaruskiego...

No, i co do nart, też.

Czech, Sieczka, Mueckenbrun, Bujak, Krzeptowski, co najmniej dorównywali mu klasę.

Jedyną okropną historję, jaką miał w górach (halny złapał go dwa lata temu na grani Mięgu-szowieckiego i trzymał między niebem a ziemią przez pięć godzin) — już sto razy opowiedział.

Zresztą, historia ta jest zupełnie błada wobec historii z juhasami. (Według wiadomości pań z „Pieszczotki“, miała się zdarzyć pewnemu geologowi, który szedł ze swoją żoną na Garluch, taka przykreść: Węgiercy juhasi napadli na nich, żonę mu zgwałcili i stręcili w przepaść, a geologa przywiązali do skały, gdzie go skubały orły...)

Próżno usiłował Roslan przekonać panie, że chyba tak nie było. Oczywiście, nie wątpił o prawdziwości tej mrożącej krew w żyłach opowieści, ale zapytywał, czy to jest może jakaś reminiscencja z „Popiołów“, ożeniona z anegdotą o Prometeuszu...?

— Daremne starania. Zakrzyczano Rosłana.

.

Jako człowiek szybkich decyzji, zawiadomił Roslan tego samego wieczora panią gaździnę, że zamierza wyruszyć na tydzień w góry. Śnieg był dobry, pogoda pewna...

Na kolację nie przyszedł. Zjadł u siebie pięć jajek sadzonych, wypił dwie szklanki herbaty, kieliszek konjaku, wysmarował sobie stopy łojem salicylowym, narty wysmarował innym jakimś łojem (włazolem, czy złazolem — to już wkracza

w tajniki profesji narciarskiej) — zaczem, zgasiwszy światła, usnął.

Szturmowały do „Aneksu“ wszystkie panie. Napróżno.

Tylko Kasia, której Roslan polecił się być obudzić o szóstej rano, chichotała z uciechy:

— Pozabijajom się baby bez ten tydzień!

.

Bywają zimą ranki w Tatrach tak przecudowne, że się ich nie da opisać żadnemi słowy!

Wysłane w świat metafory wracają, jak niepyszne... Epitety kulą się do nogi, jak skomlące szczeniaki... Jubilerskie ozdoby zawodzą... Perły, brylanty, opale — są do niczego!

Najlepiej się odrazu przyznać, że człowiek jest poprostu durny z zachwyty:

— Jest bosko!

Na smrekach sadź, śniegi jak bajka, niebo...

W taki właśnie ranek maszerował Szczęsny Roslan przez Boczań, minawszy szczęśliwie zdradliwe Kuźnice. Nie spotkał — Bóg strzegł — ani jednej damy.

Koło dziewiątej dojechał na halę Gąsienicową. Obszedł zdala schronisko, przed którym już rozdzierały się jakieś cepry, i usiadł sobie

nieco wyżej, w kopnym, pysznym śniegu. Roz-
ważał dalsze projekty. Hm... Niema się co pętać
po polskiej stronie... A gdyby tak odrazu, nie na-
myślając się długo, machnąć na Węgry?... Dosko-
nale. Tylko jaką drogą?...

.

Nie wiedział, nieszczęsny, że dookoła czai
się zdrada. Że po śladach jego podąża chutliwa
zakopiańska Astaroth, gorączką dysząca...

Jechały bo za nim wszystkie. Cała „Pie-
szczotka“.

IV.

Nie naszą jest winą, jeśli ten rozdział tra-
giczny, nieodwołalnie ostatni, przypomni wam
księgi Genezis... Jeżeli stworzymy pozory pla-
gijatu...

Aldona wzięła Bachledę, Marja wzięła
Obrochtę, Helena wzięła Gąsienicę, Janina wzięła
Roja, Teresa wzięła Mroza, Mira wzięła Buca,
Zofja wzięła Krzeptowskiego, Winia wzięła Ga-
licę, Minia wzięła Parzenicę, Linia wzięła Sobka...

A gaździna, nie w ciemną bitą, wzięła bilet do Szmeksu. Do „Smokovca“. Dla pewności. Tam go będzie czekała!...

Pojechała naokoło, spotykać Szczęsnego Rosłana po tamtej stronie.

.

Stało się tedy, że w ranek iskrzący, gdy słońce zaczęło rzucać na ośnieżone Tatry garście złotych włóczni — wyjechał z defilé, wiodącego na halę — niejako z Termopil, źle strzeżonych — sznur sań.

Niewiadomo, jaki Efialtes zdradził tym paniom miejsce pobytu Rosłana.

Dość, że go znalazły!

Aldona, powożona przez Bachledę, Marja, powożona przez Obrochtę, Helena, powożona przez Gąsienicę... Wszystkie, wszystkie!

Jako strzygi, głodne krwi męskiej, obległy siedzącego na górcie, docna zgłupiałego Rosłana.

Porwał się na nogi, chciał im zwać — już nawet kijki oba od nart uniósł lekko w górę, żeby się nimi odepchnąć — aliści — — — —

Drogę barykadowały sanie góralskie. Wóznicę byli najoczywiściej przekupieni. A i z oczu pań bił zimny upór i męstwo, nie cofające się

przed żadnem szaleństwem, byle tylko dopiąć swego celu!...

Zrozumiał Rosłan, że walka już przegrana.

.

I wtedy oszalał.

.

Gąsienicowa hala nosi odtąd miano — Babciej hali.

Straszy tam. Turyści omijają starannie to miejsce. Górale opowiadają, że ukazuje się tu często człowiek szalony, wydający niesamowite rechoty, kwiki i rżenia...

Gąsienica Sieczka młodszy mówi:

— Wicie? Kotłuje się, jak we młynie, na tej hali. Niby cicho, piknie — fajnie, a tu, wicie, nagle jak zarzy — jak ogier w Klimatyce.—Hej!

Buc poucza ceprów:

— Złe.

Obrochta się podśmiwa:

— Może i nie złe, ale strasznie jurne...

Prawdą zaś jest, że od owego pamiętnego dnia na Hali i na turniach bliskich żyje człowiek całkiem nagi, a wedle niego rój urodziwych dziwożon — czy strzygów? — niewiadomo...

Zimową porą zjeżdżają z Kościelca, obrywając lawiny, obrzucają się pigułami ze śniegu, gowią, zbytują...

Zawsze: podwójny ślad norweskich nart — i wiele śladów drobnych śniegowców.

A letnią porą — dokazują po żlebach, w parne lipcowe noce legają po kolebach albo po półkach trawiastych, wysoko nad doliną zawieszonych...

Chichoty... Westchnienia... Krzyki.

.

Radczyni Kasprzykowska czeka do dziś dnia w Szmeksie.

.

„Pieszczotkę“ prowadzą panny: Leokadja i Monika.

R O M A N S

Był już duży dzień, kiedy Solski wrócił do domu. Pewnie piąta rano, a może jeszcze później. Ptactwo aż zanosilo się świergotem na pobliskim skwerze. Widzialny z okna Solskiego róg ulicy opustoszał. Zniknęły okropne, znane z widzenia, prostytutki. Nad całym miastem rozpostarła się cisza. Błogosławiona, kojąca cisza, nawskroś przesycona porankiem. Wielopiętrowe, duszne domy nareszcie odetchnęły. Chłodna rosa zmyła z nich powszednią szpetotę i stęchliznę...

W tej krótkiej, króciutkiej chwili pauzy, dzielącej nocne, wściekle scherzo od porannego allegro — w tej małej oazie milczenia, rozkwitłej między jedną a drugą serją trąbień, dzwoń, brzęków, nawoływań, syków, przekleństw, stuków, turkotów — słyszałeś, zda się, zmordowaną, zdyszana pierś stolicy, oddychającej nareszcie równym oddechem...

Solski wrócił do domu nawpół pijany;

a w każdym razie zaczadziały. Zaczadziały mietył winem, ile szczęściem!

Gdyby go mógł widzieć ktoś w momencie, gdy otwierał zatrask, pomyślałby na pewno, że oto kapitułuje po całonocnem pijaństwie notoryczny birbant. Tak mu się, przy tem otwieraniu drzwi, ręce trzęsły, i tak się parę razy zatoczył, wchodząc do kawalerskiego kurytarza. Dziw, że się nie przewrócił w tym kurytarzu, że się nie potknął o wystawione przed drzwi obuwie, że znalazł szczęśliwie drzwi swego pokoju Nr. 7, ozdobione biletem wizytowym:

JERZY SOLSKI

Inżynier Technolog

Dziw, że nie narobił hałasu i nie pobudził mieszkańców pokoiów kawalerskich z prawej i z lewej strony, pani Zagosztowej, urzędniczki, pani Siennickiej, rozwódki, panny Hiller, masażystki, pana Woźnickiego, buchaltera, pana Aronsona, subiekta, pana Orlika, studenta... Wszystkich, wszystkich.

Umieściwszy palto i kapelusz na wieszaku, zaczął się młody inżynier pośpiesznie rozbierać. Zazwyczaj nie obchodziło się w takich wypadkach

bez potężnych stuków i grzmotów, ile że pokój Solskiego był ciasny, a niesłychana ilość nagromadzonych w nim rajzbretów, rajszyn, kartonów, książek, broszur, utrudniała bezszelestne lawirowanie. Tym razem jednak dobrnął szczęśliwie do tapczanika, zastępującego mu łóżko. Poruszając się, jak w natchnieniu, ściągnął pyjamę z poręczy krzesła, nie przewracając ani jednej butelki z tuszem, nie zrzucając na podłogę ani jednego cyrkla. Wślizgnął się pod chudą kołdrę, jak wąż. I dopiero po pewnym czasie, gdy go objęło lube ciepło pościeli, uprzytomnił sobie, że już leży, rozebrany, we własnem, najwłaśniejszem łożu — na najwłaśniejszej tachcie.

Chciał zaraz zasnąć, bo był nieludzko zmęczony, ale nie mógł. Coś mu uniemożliwiało sen. Pomyślał: światło (przez roletę zagładało zuchwale słońce). Ale to nie było światło. Pomyślał: alkohol (wypił tej nocy niemało). Ale to nie był alkohol. Więc ocknął się zupełnie. I wtedy zrozumiał. Nie pozwalał mu zasnąć — zapach. Jej zapach. Przyniósł go ze sobą, był nim przesiąknięty. Miał go we włosach, na skórze rąk, na wargach. Przewszystkiem: miał go w nozdrzach. Nieuchwytny, a jednak oszałamiający prąd woni: „L'heure bleue“... A może „Origan“? „Narcisse noire“? A

może „Quelques fleurs“? A może „Paris“? A może wszystkie razem? A może — żaden z nich?

W sercu, w skroniach, we wszystkich tętnach, we krwi zapulsowało nagle szczęście. Olbrzymie, niepojęte szczęście. Rozkosz niewysłowiona. Wszystko w nim znowu odżyło, raz jeszcze, od początku. Perypetje tej szalonej nocy, podobnej do bajki. Wstrząśnienia tak mocne, że aż prawie bolesne. Radość! Radość? Czy bywa w życiu radość, obezwładniająca jak nagły cios? Przygniatająca człowieka? Tak! Bywa!

Wszystko stało się tak nieoczekiwanie, a przecież tak zwyczajnie: Spotkał panią Rońską w teatrze.

— Dzięki Bogu! Nareszcie panią spotykam!

— Czyżby się pan tak stęsknił za mną?

-- Szalenie! Kiedy pani wróciła?

— Wczoraj.

— Państwo byli podobno nad morzem?

— Tak. W Biarritz.

— Co porabia małżonek?

— Niech pan sobie wyobrazi, że zgubiłam męża zagranicą.

— Jakto?

— Żartuję. Musiał na kilka dni zostać w Paryżu. Wie pan, w sprawie papierów rosyjskich...

— Nic nie wiem.

— A, prawda, pan stoi zdala od tych spraw. Pisały o tem pisma. To się zresztą walczyło od tylu lat. Zdawało się, że sprawa jest beznadziejna...

— Co mianowicie?

— I tak pan nie zrozumie. Słowem, mąż mój podjął się dość trudnej roboty, ale są szanse, że się powiedzie.

— O, pan dyrektor ma opinię geniusza w sprawach finansowych!

— Owszem, jest bardzo zręczny. Ale mówmy o panu. Cóż pan w lecie porabiał?

— Byłem na budowie.

— Gdzie?

— Budowałem most na Dniestrze.

— I cóż. Wybudował pan?

— Jedno przęsło.

— Phy... to niedużo.

— Proszę pani! Taki most buduje się kilka lat. Jedno przęsło, to dużo! Mieliliśmy bardzo skomplikowane roboty kesonowe...

— Na tem znowu ja się zupełnie nie znam. W każdym razie — ha-ha! zrobił pan na mnie wra-

zenie człowieka niezwykle energicznego. W Sylwestra—pamięta pan?—twierdził pan nawet, że dla mnie potrafiłby pan przerzucić most w jeden dzień! Przez Niagarę, zdaje się?

— Pani jest nielitościwa! W Sylwestra byłem trochę urzęnięty...

— Owszem. Był pan.

— Ale pani ma pamięć...!

— Mam. Doskonałą. — Dzwonią, słyszy pan?

— Jeżeli pani pozwoli... w następnym antrakcie...?

— Bardzo proszę.

— Pani jest w teatrze sama?

— Sama.

W następnym antrakcie popełnił niezręczność, bo zameldował się jej z czekoladkami pod pachą. Podniosła pyszne brwi.

— Czy pan ma zamiar starać się o moją rękę?

Jednak, widząc jego poważne zmartwienie, roześmiała się.

— Jeżeli pan chce być koniecznie tak rycerski —

— ?

— to niech mi pan kupi wody sodowej.

W foyer, pod koniec antraktu, spytał bardzo

nieśmiało, czy pozwoli się odwieźć do domu. Przyjęła to bardzo naturalnie.

— Owszem, pan u nas bywa...

*

Jak się to wszystko potem stało, Solski nie wiedział. Naprawdę, złożyło się wprost fantastycznie. W najzuchwalszych marzeniach nie przypuszczał. Owszem, musiała wiedzieć dobrze, że się w niej skrycie kocha. Owszem, musiała pamiętać, że podczas całego karnawału chodził za nią, jak urzeczony. Najlepszy dowód zresztą, że pamięta, skoro mu przypomniała zeszłorocznego Sylwestra... Ale żeby tak nagle... Nieoczekiwanie... Po przypadkowem spotkaniu się z nim w teatrze... Nazajutrz po powrocie z zagranicy...

Wszystko: i ta beznadziejna taksówka (którą dotarli nieomal do drzwi jej domu) i zupełnie nieoczekiwana zgoda na przedłużenie spaceru (zawrócili w ostatniej chwili) i spacer, przy coraz wyższej temperaturze (pozwoliła mu się w taksówce pocałować w oczy), i kolacja w gabinecie (całowali się jak szaleni), to wszystko spadło nań, jak grom z jasnego nieba.

A najbardziej, to ostatnie. Kiedy go zapytała cicho, zatapiając zamglony wzrok w jego oczach:

— Do pana pojedziemy — czy do mnie?

Kiedy się okazało, że do niego absolutnie nie można, bo pokoje kawalerskie nie dają, niestety, żadnej rękojmi dyskrecji — i wogóle — objaśniła go z zupełnie zimną krwią, jak i co. Że najpierw ona zadzwoni do bramy, wejdzie na schody, i będzie czekała. Potem on zadzwoni, spyta się o pana Kazimierskiego i, jakgdyby nigdy nie, wejdzie. Ten pan Kazimierski to malarz, mieszkający na VI-em pięttrze, do którego często w nocy przychodzą koledzy. Mnóstwo tej malarji się włóczy, dozorca się nie zdziwi. Zresztą, o tej porze jest zawsze zaspany... Z wejściem do mieszkania, to dziecinna igraszka. Ma klucz od Yale. A służba śpi na drugim końcu ośmiopokojowego mieszkania. Trzeba tylko ugłaskać ratlerkę Kiki, która czasem szczeka, jak szalona...

Solskiemu się naprawdę tej nocy musiało śnić, albo oszalał. Bo w tem wspomniałem, lukso-wem mieszkaniu Rońskich działy się dziwa. Ściany się rozstępowały — i kasały: tak jest, kasały. Ledwo wszedł za nią do przedpokoju, stąpając na palcach, jakaś ręka popchnęła go w boczne drzwi, o których nie wiedział. Jednocześnie, w absolutnych ciemnościach, jakieś usta palące, gwałtowne, okrutne, ugryzły jego usta do krwi... Potem

zatoczył się i stracił równowagę, i pomyślał, że leci na dywan. Ale upadł, pociągnięty za rękę, na jakąś otomanę, czy berzerę, coś bardzo miękkiego i puszystego — i znalazł się tuż obok węża, mającego śliskie, jedwabne biodra i płonące, nagie ramiona — — nie węże nie miewają ani bioder, ani ramion! — znalazł się tuż obok niej — podwójnie nagiej w pajęczej sukni i pajęczej bieliźnie.

Zachłysnął się jej zapachem —

A Kiki nie szczekała.



Solski oprzytomniał trochę i zaczął rozpamiętywać. Najpierw, przyszło mu do głowy, że oto ma pierwszy w życiu romans. Prawdziwy! Bo to, co mu się przytrafiało dotychczas, to były historie łatwe i banalne. Zresztą, niewiele, prawdę mówiąc, przeżył. Potem, coś w nim nagle zagrało, w okolicach serca, jak jakiś instrument muzyczny. Jak instrument muzyczny o przedziwnym czarze. Pomyślał sobie, że wziął tę kobietę siłą uczucia. Sama namiętność byłaby nie wystarczyła. Bo zmysły zmysłami, ale pani Rońska — Ira, Iruchna — jest dumna! Dumna i czysta! To się też w niej musiało tlić, aż wybuchło. Kto wie, może za kilka godzin zatelefonuje do niej? A gdy się

z nią spotka?... Kto wie, może się dowie, że już w ubiegłym roku był jej miły? Może mu wyzna, że tam nad oceanem, w cudownym Biarritz, nie miała oczu dla nikogo, ani dla męża, który jest jej obojętny, ani dla wielbicieli, którzy ją nudzili — że nie miała serca dla nikogo — tylko dla niego, pokochanego w Warszawie od pierwszego wejrzenia. Rozmyślając tak, uczuł mocny, gwałtowny przypływ wzruszenia. Streścił je sobie w jednej formie: zdobyć miłość tej kobiety na zawsze. Na zawsze. Bo romans ich, dziś rozpoczęty, nie może się skończyć ani przesytem, ani chłodem. Dzień, który zaświtał, będzie dniem jeszcze piękniejszym. A następny dzień — piękniejszym od tego, co przyszedł. I tak crescendo. Bo są oboje młodzi, i żywiołowi, i przedziwnie fizycznie dobrani, i niezblazowani. Tylko chodzi jeszcze o jedno — o to, żeby Irce dać godną jej królewskiej urody oprawę. Przywykła do komfortu, jest prawdopodobnie rozpieszczona. To nic. Za rok, może za pół roku, będzie miał stanowisko samodzielne. Kupi sobie mieszkanie, choćby najmniejsze. Pójdzie do niej, i powie: Ireno! Zamieszkaj ze mną. Teraz już mam własny home. Formalności rozwo-dowe przeprowadzę w okamgnieniu. Będziemy się

kochali, jak nikt się jeszcze nie kochał. Bo ja bez ciebie żyć nie mogę — i ty beze mnie żyć nie możesz — i dalsze ukrywanie naszego stosunku byłoby zbrodnią wobec twojego męża, wobec ciebie, wobec mnie, wobec naszego wielkiego uczucia, wobec...

*

Jakże się dziwił inżynier Solski, jakże się zdumiał, jakże dziwnie oniemiał (a nawet, podobno, troszeczkę przybladł), kiedy otrzymał po południu pocztą miejską list, pisany na m a s z y n i e (telefony milczały, jak zakłète) tej, dosłownie, treści:

„Mile wspominam wieczór, spędzony z panem. Uprzedzam, że mój mąż w tych dniach wraca, więc widywać się teraz absolutnie nie możemy. W związku z przeżyciami naszymi załączam rachunek pewnej firmy, który pan, jako gentleman, niewątpliwie honorować zechce. Najlepiej byłoby, gdyby pan załatwił to czymkolwiek czekiem na P. K. O. W ostateczności, własnym, o ile pan tam ma pokrycie. Czek proszę poprostu włożyć do koperty i posłać firmie, razem z rachunkiem. Uprzedziłam ich telefonicznie, że ureguluję ten drobiazg niezwłocznie. Dowiem się jutro, czy sprawa załatwiona. Amitiés“.

List był bez podpisu, zato z przypiskiem:

„Post-scriptum. O ile pan nie hołduje śmiesznym przesądom i nie uważa, że „pieniądz plami“, uczyni pan najlepiej, posyłając odrazu gotówkę. Zawsze to dyskretniej. Prawda?“

W L A T A R N I

(pomysł dla scenarjusza kinematograficznego)

10 sierpnia — Godzina 9 rano. — Przyjechałem wczoraj wieczorem. Morze było wyjątkowo spokojne. Poznałem się z Williamsem i jego żoną. Przyjęli mnie niesłychanie serdecznie. Zdaje się, że to są bardzo poczciwi ludzie. Tak, jak było umówiono, zamieszkałem w górnej izbie latarni: w dolnej mieszkają moi gospodarze. Zdaje się, że mi tu będzie, jak w raju.

10 sierpnia — Wieczorem. — Inspektor Craig odjechał przed chwilą. Na pożegnanie powiedział mi, co następuje: — Kochany panie. Mam nadzieję, że w tej samotnej wieży, zdala od zgiełku życia, odzyska pan spokój i powróci do swej przerwanej pracy. Jestem szczęśliwy, że mogłem być panu pomocnym przy wynalezieniu takiego idealnego miejsca pobytu... Będziemy niezawodnie najpilniejszymi czytelnikami pańskiej nowej powieści... Zapewne będzie to coś o morzu i o żegl-

rzach?—Następnie pocziwy Craig ścisnął mi długo rękę i rozwodził się nad moim — pożał się Boże! — talentem. Przypuszczam, że żadnej z moich prac nie zna. Ale rekomendacja podsekretarza stanu do spraw marynarki sprawia cuda... Gdybym był laureatem Nobla, nie mianoby dla mnie tyle respektu... Swoją drogą, przydało mi się na coś koleżeństwo z Cambridge, protekcja grubego Griffitha — i prawo tykania Ministerstwa Marynarki...

11 sierpnia. — A więc nareszcie. Jestem sam, sam, sam! Nikogo nie widzę. Nikogo! Nie dotrze tutaj nikt z moich znajomych... Niema też telefonu, któryby przynosił mi z nierozsądnym pośpiechem najgorsze wiadomości!...—Nie mam żadnych pism! — Hurra, hurra, hurra! — Żadnych pism!... — Czy może być coś równie rozkosznego? — Jeżeli, na przykład, jutro upadnie gabinet — nie będę o tem wiedział. Nie będę wiedział! Ot, i wszystko! Jeżeli stary intrygant, Lloyd George, znowu podłoży petardę pod gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych — i giełda zadrży — też nie będę o tem wiedział. Cudowne! — Niemcy mogą sobie przyjmować kontrolę wojskową, mogą jej nie przyjmować — jest mi wszystko jedno! — Jest mi także

wszystko jedno, czy zbiór bawełny w Ameryce uda się, czy nie uda... Poprostu, mogę sobie kpić z tego! Kiedy Craig wczoraj odjeżdżał, powtórzył mi coś z pięć razy: „Proszę pana, to jest bardzo samotne miejsce, bardzo samotne. Gdyby się panu miało tu sprzykrzyć, proszę dać mi znać przez najbliższą pocztę, a postaramy się wyszukać dla pana inną latarnię morską, któraby była zbudowana równie solidnie, ale leżała bliżej brzegu“.

— Kochany Craig! — Właśnie o to chodzi, że Fleet - End leży o sześćdziesiąt mil od brzegu!.. Właśnie o to chodzi! — I to jest również cudowne, że motorówka, przywożącą tak zwaną „pocztę“ — (odkąd to rum nazywa się „pocztą“?) — przybija do naszej skały raz na tydzień, a jak dobrze pójdzie — raz na miesiąc... Bo kiedy ocean się gniewa, nie może tu przybić ani motorówka, ani indyjska piroga, ani żaden wogóle statek! Zatem: hurra, hurra, hurra!

12 sierpnia. — Cisza. Zupełna cisza. Morze dziś gładkie, jak polerowana stal. Nie słysząc zupełnie szumu fal... Ledwo szmer słyszać... Na horyzoncie, tam, gdzie prawdopodobnie leży brzeg, niebo jakby przydymione. Ani jednej chmurki.

Ani jednego okrętu. Nawet śladu. Upał. Nie chce mi się pisać...

15 sierpnia. — Poznałem całą latarnię. Zwiedziłem ją od góry do dołu. Obejrzałem sobie dokładnie przyrząd w oszklonej altanie, ów czarodziejski aparat, rzucający snopy światła na wiele, wiele mil... Fenomenalna lampa! — Powiedział mi Williams, ile to ma tysięcy świec, ale zapomniałem... Reflektory są niesłychane... Podobno, od czasu pobudowania tej latarni morskiej, zmniejszyła się ilość katastrof przy tych brzegach o siedemdziesiąt pięć procent... Brawo... — Williams był przy budowie. Opowiada, że to było coś niesłychanego! Cała ta wysepka może mieć kilkadziesiąt metrów kwadratowych powierzchni... Budowano częściowo w bazalcie, częściowo w betonie... Pod północną szkarpą jest zaraz głębia, około osiemdziesięciu metrów... Zniknęło tam bez śladu kilkanaście tęgich ładunków szutru i cementu! — Bloki kamienne przywożono wprost z kamieniołomów południowej Anglii... Ważyły rozmaicie... Po dziesięć tysięcy kilogramów i więcej... Jeden taki blok urwał się i wpadł w morze, miażdżąc po drodze robotnika...

Dzień był bardzo burzliwy, ciało porwał prąd...

Williams mówi, że się czasem zjawia nieboszczyk. — No, naturalnie! — Jakżeby się mogło obejść bez jednej bodaj strasznej historii? Swoją drogą, to zabawne, że go nie mogli wyłowić. Musiało być tego dnia nieprzyjemnie na tej skale!

Wtajemniczył mnie też Williams w sekrety apteki i szpitalni. Przyznam się, że apteką interesowałem się bardzo mało. Chociaż, jak powiada Williams, trzeba wiedzieć, gdzie co leży, na wypadek choroby, albo nieszczęścia. Przecież po doktora nie pośle... Apteka, o ile mogę sądzić, zaopatrzona jest bardzo bogato. Widziałem na półkach najrozmaitsze lekarstwa. Nawet pewien specyfik niewieści, znany mi z dawnych lat. Gdy się zapytałem Williamsa, poco to mają w latarni, odpowiedział mi, zlekka zażenowany: — „Przecież tu jest moja żona“... —A, prawda, jego żona. No, ale ta chyba nigdy nie choruje?... — Williams nazywa mnie, nie wiem dobrze dlaczego, profesorem. Więc i tym razem, sądząc widocznie, że sprawa wymaga bliższych wyjaśnień, dodał, w formie komentarza: — „Kobiety, proszę pana profesora, potrzebują czasem bardzo dziwnych lekarstw, na bardzo dziwne słabości... Widać rząd o tem wie, bo trzy lata temu, kiedy wypełniłem służbowy kwestjonariusz o moim stanie małżeńskim, przy-

wiół pan profesor Craig te kapsułki — i jeszcze inne lekarstwa... O, proszę pana, rząd jest ogromnie w tych sprawach akuratywny“...

Hm... Nie przypuszczałem nawet, że rząd angielski wchodzi w takie detale. Ślicznie to o nim świadczy...

Zatem, Williams ożenił się trzy lata temu. Sądziłem, że jeszcze trwają miodowe miesiące... Przecież oni się kochają tak, jakby dopiero wczoraj odeszli od ołtarza... Tak. Więc obejrzelśmy także spiżarnię. Byłem zdumiony. Moglibyśmy z łatwością wytrzymać dwumiesięczne obłęzenie!..

Pani Williams pokazywała mi to z dumą. Sądzę, że pewna zarozumiałość w tonie i w geście była co najmniej usprawiedliwiona: niejedna młoda mężatka z najlepszych burżuazyjnych sfer nie posiada tak luksusowo zaopatrzonej spiżarni! Williamsowa promieniała: te wszystkie maki, kasze, słoniny, cukry, sery, bekony i tak dalej świadczą wprost patetycznie o potędze Anglii. — Ba! Jeżeli prosty latarnik tak żyje, jak dopiero musi żyć angielski powieściopisarz?..—Hm... Lepiej przejdźmy do innego tematu...

17 sierpnia.—Wczoraj minął tydzień od dnia mojego przyjazdu na Fleet - End. Przez cały ten

tydzień nie wziąłem ani razu pióra do ręki. Nie mówię, oczywiście, o tym pamiętniku, bo to się nie liczy. Wziąć pióro do ręki — znaczy u nas, „sławnych“ literatów, że się zaczęło pisać „na serjo“... Mój Boże! Czy ja kiedykolwiek pisałem na serjo?... Przecież jeszcze nie tak dawno, z okazji polemiki, wywołanej przez wrogie mi pismo „Musaion“, pisał o mnie jeden z moich — hm... — serdecznych przyjaciół: „Jeżeli dano Pershingowi nagrodę Akademji, — uczyniono słusznie. Nikt bowiem, w tym stopniu jak on, Pershing, nie osiągnął szczytów doskonałości artystycznej w rzeczach niewypowiedzianie błahych...“

Brawo! To rozumiem!

Tedy — jest rzeczą zupełnie oczywistą, że i tu, na cichej skale Fleet - End, nie potrafiłem dotychczas spoważnieć... Może to się jeszcze zmieni? — Miejmy nadzieję!

20 sierpnia. — Jacy to poczciwi ludzie, ci Williamsowie! — Zanotuję chociażby taki fakt: wczoraj wieczorem byłem trochę zdenerwowany. Kiedy usiedliśmy, jak zwykle, do wspólnej wieczery, zauważyłem ze zdziwieniem, że przed mojem nakryciem, w małym szklanym kieliszku, nalałym do połowy wodą, czerwieni się — kwiat.

Okazało się, że pani Williams potrafiła jakimś cudownym sposobem wyhodować w skrzynce krzaczek pelargonji... Podlewała go wodą deszczową, skrupulatnie przechowywaną w specjalnym rezerwuarze, bo nasza woda do picia, z cysterny, działa, jak się dowiedziałem, bardzo źle na kwiaty.

Gdy dziękowałem, szczerze wzruszony, odpowiedział Williams: — „Panie profesorze. Żona zauważyła, że pan jest dzisiaj smutny. Więc zapytała mnie, czyby panu ten kwiatek nie sprawił pewnej przyjemności“...

Spojrzałem na panią Williams. Była szkarłatna! Boże, jak ślicznie rumieni się ta ładna kobieta! — Pocałowałem ją odruchowo w rękę. — Zdaje się, że Williams był z tego bardzo zadowolony.

1 września. — Całe dziesięć dni pisałem, jak szalony! Jak tu się cudownie pisze w tej latarni! Człowiek czuje się zupełnie odgrodzonym od reszty świata. Niema się przykrego uczucia — uczucia, które mnie w ostatnich miesiącach pobytu w Londynie wprost doprowadzało do irytacji, że w każdej chwili może coś zająść, że w każdej chwili może ktoś wpaść — — — właśnie wtedy, kiedy

się kreśli jakiś szczególnie delikatny i trudny rysunek — obraz — szczegół — — —

Grubość tych ścian sprawia rozkosz. Nieprzebyta barykada — jaką jest ocean — potęguje uczucie bezpieczeństwa. Cisza — głęboka, święta, żywiołowa cisza — upaja! Myśli stają się lotne, jak ptaki, czyste, jak kryształ! — Wyobraźnia uwalnia się od tandety przelotnych podnieceń!... — Jedno wielkie, męskie, twórcze uniesienie przenika serce i mózg!

W przeciągu tych dziesięciu dni napisałem sześć rozdziałów nowej mojej powieści. Powieść będzie się nazywała: „Kobieta z nad morza“. Mniejsza o to, że tytuł pachnie Ibsenem! Ważniejsze, czem pachnie moja powieść! — Będzie świeża, jak wiatr, i mocna, jak fale! — Jeżeli chodzi o prozę, nie wiem, który z pisarzy społecznej Anglii zdobędzie się na równie czyste i plastyczne opisy... Tylko akcji jeszcze dobrze nie widzę. — Ale to się jeszcze znajdzie.

2 września. — Dziś mieliśmy pocztę. Przez chwilę wahałem się: otwierać, czy nie otwierać? Dostałem bowiem kilka listów, a wśród tych listów — jeden adresowany ręką lady Glynn.

Podarłem wszystkie listy na drobne, drobniut-

kie kawałki. Strzępy porwał wiatr i uniósł daleko, daleko...

Poczułem się naraz młodszym i bogatszym! Gdy przypadkowo odwróciłem się poza siebie, zauważyłem, że Williamsowa, która w tej chwili weszła na galerję, patrzy, jak zielone, wesołe fale, tańczące dookoła latarni, pochłaniają nicość papieru... Roześmiała się nagle.

Wtedy i ja wybuchnąłem śmiechem, ciesząc się — sam nie wiem właściwie — z czego.

Po obiedzie mieliśmy rzadki deser — melon.

Williams powiedział:

— Panie profesorze. Proszę zapamiętać dobrze smak tego owocu, bo już pewnie w tym sezonie drugiego takiego nie dostaniemy.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Lada dzień pogoda nam się popsuje. A wtedy nietylko o melonach, ale nawet o wodzie i mące nie będzie można myśleć...

Chociaż mamy aparat do filtrowania wody morskiej, otrzymujemy przy każdej okazji wodę z brzegu. Mąki widziałem w szpiżarni tyle, że rozbicie nowych zapasów wydało mi się poprostu zabawne. Powiedziałem to Williamsowi. Odparł:

— Akurat rok temu morze się wściekło. Zła pogoda trwała bez przerwy prawie przez pięć ty-

godni. Przez pięć tygodni byliśmy kompletnie odcięci od świata...

Czy to możliwe, żeby łagodne, jasne morze, które widzę codzień, mogło być do tego stopnia niebezpieczne?

Podobno możliwe...

3 września. — Jak to dobrze, że nie przeczytałem listów, które mi wczoraj przyniosła poczta! Mam w sobie pogodę i radość. Nie wiem, o czym pisała do mnie piękna lady Glynn, przypuszczam jednak, że były to niewesołe rzeczy... Zapewne zwracała mi uwagę na pewne, szczególnie nikczemne strony mego charakteru i groziła zastosowaniem represji w wypadku, gdybym... I tak dalej, i tak dalej! — I pomyśleć tylko, że ja tę pyszną lalę kochałem przez dwa długie, zimowe sezony, to znaczy od listopada do lipca, i jeszcze raz od listopada do lipca. Bo w lecie lady Glynn dawała mi urlop. Sama wyjeżdżała do Francji i zawierała nowe znajomości... do listopada.

Jak dobrze jest żyć na świecie! Jak pięknie!

Wyobrażam sobie, że teraz kochana lady Glynn siedzi w Ostendzie, albo w Dinard, albo w Trouville, albo w Biarritz — i „poprawia sobie ramiona“.

Oczywiście, musi sobie poprawiać ramiona, skoro piękno tych ramion jest jej racją bytu, jej głównym walorem towarzyskim, powodem bywania u dworu...

— Ach, to ta piękna lady Glynn, która ma najpiękniejsze w Londynie ramiona?

Ta sama, właśnie.

4 września. — Dokoła naszej latarni biegnie galerja, otoczona żelazną balustradą. Obliczyłem dokładnie: dwadzieścia cztery kroki. To jest nasza promenada.

Chodzę czasem po tej galerji, wciąż dokoła, wciąż dokoła, kiedy uczuвам potrzebę ruchu. Bo wogóle jakoś dotychczas nie daje mi się we znaki brak miejsca do spacerów. Na dole, u podnóża latarni, jakieś dwa metry nad poziomem morza, mamy jeszcze malutki taras, wyłożony płytami z kamienia. Ale na tym tarasie źle się spaceruje, bo go woda zbyt często zalewa, więc jest śliski. Łatwo potknąć się i wpaść do morza, co mogłoby mieć najgłupsze w świecie i nieprzewidziane konsekwencje: głębia ziewa pod samą latarnią...

Chodząc tedy po naszej galerji, posyłam nie-raz myśli w dalekie kraje... Do spraw, które mi-

neły, do spraw, które jeszcze nadejdą... I zawsze myśli moje powracają z radością do tego małego okrucha skały, na której stoi latarnia morska, — mój dom. Nareszcie mam dom! Ja, — tułacz, obcy nawet w rodzinnem mieście — mam dom! Wśród wielkiego morza, zdala od brzegów, zewsząd otoczony podmuchami wiatru i szumem fal... Mam go jednak, nareszcie mam!...

Fleet - End nazywa się mój dom. Kocham Fleet - End!

10 września. — Akurat miesiąc mija. Miesiąc temu przyjechałem na tę minjaturową wysepkę. Dzielę dach i stół z dwojgiem doniedawna obcych mi ludzi. Pozatem, mam tu całe królestwo snów i marzeń, zamknięte w ciasnej izdebce. Gdy tęsknota w mem sercu wzbiera, otwieram naościę okna... Jeżeli to jeszcze nie pomaga — wychodzę na galerję, zawieszoną wysoko nad wielką pustką morza... Czasem wzrok mój spostrzega wędrowne mewy, czasem, widne z oddali, pióropusze dymów, któremi statki znaczą swą drogę morską... Najczęściej jednak nic nie widzę... Tylko — morze i niebo! I przed rozmaitością tych dwóch rzeczy, przed tysiącznemi światłami, cieniami, błyskawicami słońca, arabeskami pian, kawalkadami fal, turnie-

jami obłoków — skłaniam w zachwycie czoło —
i przymykam oczy...

15 września.—„Kobieta z nad morza“ zacięła mi się najniespodziewaniej w ósmym rozdziale — i nie chce zrobić ani kroku dalej. Bywa to z kobietami, ale nie jest zupełnie beznadziejne... w życiu. W powieści — nie. Powieść bowiem, w odróżnieniu od życia, absolutnie nie znosi „środków heroicznych“. Gdyby to chodziło o kobietę z krwi, kości, bielizny i jedwabiu — wiedziałbym, co mam uczynić! Wziąłbym ją na sentyment, na autorską lożę w teatrze, na rzadki sztych, na pospolite pochlebstwo, albo — w ostateczności — na grę mięśni, które czasem skutecznie zastępują grę serc...

Niestety! Żaden z tych sposobów nie może znaleźć zastosowania wobec „Kobiety z nad morza“. Kłamać można w życiu. W literaturze — nigdy...

16 września. — I znowu nic! — Napisałem dziś dwanaście kartek, w każdej kartce po czterdzieści wierszy, w każdym wierszu przeciętnie po czterdzieści pięć liter... Razem tedy dwadzieścia jeden tysięcy sześćset liter... Potem podarłem to.— Okropne!...

17 września. — Nic. Nic. Nic!

18 września. — Nic.

19 września. — Pogoda psuje się. Wiatr stę-
żał. Napędziło skądś chmur, aż podziw bierze, skąd
się zjawily?... — Morze złe, fale łamią się wyso-
ko. Nasz taras kompletnie tonie w białych pianach.
Williams mówi, że to dopiero początek...

20 września. — Williams miał rację. Dzisiej-
szej nocy huczało i szumiało tak głośno, że nie-
spósób było oka zmrużyć! Nadomiar złego, mia-
łem wrażenie, że lada chwila zmiotą fale ten ka-
wałek skały i sterczącą na niej latarnię morską...
Fatalna noc!...

23 września. — Nie wiem, czy długo jeszcze
wytrzymam ten piekielny taniec? — Morze się
wściekało. Sto czarownic, tysiąc czarownic oble-
gało dzisiejszej nocy Fleet - End! Pomiedzy pół-
nocą a świtem — wstyd mi się przyznać — czu-
łem strach!

Teraz jest niby to trochę ciszej, ale podobna
cisza mogłaby obudzić umarłego... Kierunek wi-
chru zmienił się: przedtem wiało z północnego

wschodu, teraz wiatr obrócił się i wieje z północy. Ziąb!—Na galerji jest taki szalony pęd powietrza, że o chodzeniu nie może być mowy... Trzeba się mocno trzymać balustrady, żeby nie upaść. Fale idą niepowstrzymanie na naszą latarnię, zupełnie jakby oszalały... Niektóre dosięgają okien pierwszej kondygnacji, gdzie mieszkają Williamsowie. Dopiero teraz oceniam kurtuazję moich gospodarzy; nie rozumiałem przedtem, dlaczego gwałtem chcieli mnie ulokować na drugim piętrze... Ale czyż można było przewidzieć, że morze będzie dosięgało takiej niesamowitej wprost wysokości?

Jest zupełnie ciemno. Williams zapalił latarnię o trzeciej! Białe ramiona chodzą po tym szumiącym chaosie — i szukają... Brr... Jak tam dziś musi piekielnie hustać na morzu...

25 września. — Nareszcie! Wypogodziło się. Lazur błyszczy jak turkus, umaczany w srebrze. Morze przeprasza... Morze się wstydzi!...

Fale drobnutkie, jak piersi małych dziewczynek, ledwo wzdymają się u podnóża latarni... Nie wpadają z hukiem na taras!... Nie straszą ludzi rozwianemi dziko grzywami!... — Przeciwnie! — Lekkiemi dotknięciami wilgotnych warg —

pieszczą ten schłostany burzą blok z bazaltu i betonu...

Jest prześlicznie.

26 *września*. — Była znów poczta. Tym razem tylko jeden list do mnie: — oczywiście od lady Glynn. Żelazny charakter ma ta kobieta! Perfumy nasyciły tak mocno kopertę, że ich nawet sól morską nie przeżarła... Lady Glynn wionęła na mnie z tego listu, jak kiedyś, pamiętam, wionął zapach jej bielizny, „utkanej z fiołków i mgły“, z otwartych drzwi bieliźniarki... Hélas! — Było to w zaraniu naszego romansu... Spełniałem wówczas przy pięknej damie różne posługi natury intymnej i romantycznej... „Vicomte... Passez-moi ma chemise“ — Boże, jakież głupi bywa człowiek! — Jakież głupi...

List podała mi tym razem pani Williams. Uczyniła to osobiście, powodując się właściwą kobietom ciekawością. Zapewne była ciekawa, jak los spotka następną kopertę? Wyznam, że pierwotnie zamierzałem przeczytać list. Tak mi wątku brak, może choć trochę się we mnie zagotuje to dziwne „coś“, zwane natchnieniem!...

Ale — czegoż w pewnych chwilach nie robimy dla zachowania... linji?

Gdy spotkałem się oczami — z ciemnymi oczami pani Williams — (śliczne oczy ma to młode stworzenie) — wyczytałem w nich pewien niepokój i — jakby to rzec? — spotęgowaną do maximum — ciekawość.

Więc podarłem list na strzępy, nie czytając go!

Spotkała mnie za to nagroda w postaci bardzo finezyjnie wypowiedzianej uwagi:

— Nie chciałabym być tą damą, która do pana pisuje listy...

Zapytałem:

— Skądże pani wie, że to jest dama?

I pożałowałem mej niezręcznej obłudy. Spotkało mnie spojrzenie... Och! jakie spojrzenie! — To spojrzenie mówiło: „Czy, doprawdy, głupiej pytać już nie umiesz?”

28 *września*. — Odkąd zwróciłem nieco baczniejszą uwagę na śliczną panią Williams, drgnął nagle zatajony w mym intelektualnym aparacie demon ruchu. — Piszę! — Piszę z zupełną łatwością i — dziwię się sam sobie, dziwię niepomieranie, jak mogłem tak długo stać na kotwicy przy rozdziale ósmym?

— Przecież nie było nic łatwiejszego, jak wprowadzić do serca mej bohaterki — miłość!

„Kobieta z nad morza“ nabrała dopiero teraz rumieńców! — To wszystko, co napisałem wcześniej, legło, jak miękki kobierzec pod jej stopami. — Ale życie — życie ma dopiero wtedy sens, kiedy się w niem coś dzieje... Teraz się dzieje... na pewno wiem, że się coś dzieje!...

30 września. — Williams wyjechał na dwa dni. Został wezwany służbowo, wraca jutro. Nie wiem, czy popełniłem coś złego, czytając jego żonie — zresztą, na skutek jej wyraźnej prośby — kilka rozdziałów mojej nowej powieści? — Ostatecznie, byłbym to mógł zrobić dobrze w obecności Williamsa...

Zabawne jednak, jak my potrzebujemy galerji! — Po blisko siedmioletnim milczeniu, przemówiłem po raz pierwszy do publiczności... Publicznością była młoda, dwudziestoletnia żona latarnika z Fleet-End, dekoracją — morze. Może być, że uroku tej niezwykłej audycji dodawało to, że w promieniu sześćdziesięciu mil nie było żywej duszy — i że siedliśmy naprzeciwko siebie, w tej przedwieczornej, cichej godzinie... Ona — i ja.

30 września — godzina 10 wieczór. — Żałuję, że czytałem jej „Kobietę z nad morza“. Nie wiem, poco to zrobiłem... Nie wiem, nic nie wiem! — Jest mi duszno, źle, niespokojnie... Skłamałem, pisząc wyżej, że Mary Williams prosiła mnie w y r a ż n i e o przeczytanie jej kilku rozdziałów powieści... Skłamałem ohydnie, bo samemu sobie!

W pewnych okolicznościach literatura może być zniewagą, a sztuka wytrychem!

11 wieczór. ...Byłem przed chwilą na dole. Stukałem do jej pokoju. Do ich pokoju. Nie odpowiedziała mi. Wiem, że nie śpi... Nie mogę sobie znaleźć miejsca... Więc co, że płakała, kiedyś jej czytał, ty stary, podły, fałszywy łotrze?!... — Więc co? Oh, żeby już prędzej ta noc minęła! Żeby już prędzej Williams wracał — —

Sylwester, 1925. — Piję za wasze zdrowie, dalecy moi wrogowie! Piję i — zaciskam pięści!

Unurzałem w błocie najczystsze dni mojego życia! Popeliłem najgorszą zdradę, jaką może popełnić człowiek: zdradę przyjaźni! — Nigdy, nigdy już nie wolno mi będzie zobaczyć dalekiej

latarni morskiej w Fleet-End — i morza, tak burzliwego, morza śpiewnego, morza, raz huczącego jak organy, kiedy indziej — cichego, jak sen o szczęściu...

Odrąciłem wasze proste, piękne i przyjazne serca. Zabiłem w was wiarę w człowieka. Ukazałem nicość sztuki, która nie umie zachować czystości i plami cudze łoże — aby z bogacić swe ozdoby, tak niesłychanie kruche...

Miasto - olbrzym huczy. Miljon światła gra. Szaleje noc Sylwestrowa. Za chwilę pojedę do domu lady Glynn i będę się wsłuchiwał w jej fałszywy, nienawistny, nieskończenie kuszący śmiech... Utopimy w szampanie dzień dzisiejszy, i jutrzejszy — i wszystkie pozostałe.

Nie zapomnę jednak nigdy małego okruchu skały, na którym po raz pierwszy — i ostatni zapewne — żyłem jak człowiek!

Miną lata — i ty mi może przebaczysz, panie Williams, że nie oszczędziłem ci ostatniego upokorzenia... Że się tak bardzo zająłem twoją sprawą... Że uwolniłem cię z pod sądu... Czegóż nie może zrobić literat modny i znany, przyjaciel samego pana podsekretarza stanu i lady Glynn, damy o pięknych ramionach?...

Gdyby twoje pchnięcie nożem było dosięgło mego zgnitego serca, wyrównałby się może nasz rachunek... A tak — uczyniwszy ci jedną krzywą krzywdę — pogorszyłem ją drugą: kilkoma wizytami i kilkoma listami osiągnąłem to, żeś został zwolniony od sądu... Więc nie możesz mieć nawet tej satysfakcji, żeby mnie nienawidzieć całkowicie i żywiołowo... Nawet tej!

O tobie nie śmiem myśleć. Wiem, że gdybyśmy nie byli dopuścili do zgaśnięcia tej latarni, rzecz nigdyby się nie wydała... I wiem, że gdyby się nawet nie wydała, nie dałoby się naprawić pewnej drobnej, drobniutkiej rzeczy: światło, które się w tobie paliło, zgasilem...

Przebacz. Nie wiedziałem dawniej, że są kobiety, których nie wolno skłaniać do cudzołóstwa. Dzisiaj już wiem. Trochę późno, coprawda — —

I jeszcze jedno.

„Kobiety z nad morza“ niema. Powieść wyjdzie pod tytułem „Jesień“.

R A D O Ś Ć

Jeszcze w przeddzień był okropnie zdenerwowany i smutny.

Miał poważne zmartwienie. Bo na jego biurku leżał od kilku dni nieduży, brązowawy druk w kształcie pocztówki, opatrzony stemplem: „Bank Północno - Południowy“ i zawierający nieprzyjemną wiadomość, że takito a taki weksel trzeba będzie wykupić 1-go, przy okienku Nr. 3, najpóźniej do godziny 2-ej po południu.

Nie miał pieniędzy na wykupienie tego weksłu, suma była spora, znikąd nie było widać gotówki — słowem, dramat.

Ta przykrość, natury bardzo prozaicznej, łączyła się z inną przykrością, natury raczej moralnej. (Przykrości zawsze chadzają parami). Jedyna jego, szczerza (jak mniemał) przyjaciółka, która wyjechała była do krewnych na kresy, napisała do niego z jakichś zakazanych Bałduciszek zupełnie zwarjowany list, w którym zawiadamia, że ma

zamiar wyjść zamąż za pewnego antypatycznego, ale ciężko bogatego gentlemana. Usprawiedliwiała się w przypisku, że jej się życie z ołóweczkiem w rękę sprzykrzyło, że nigdy do tego nie była przyzwyczajona, że nie może przeboleć straty rodzinnych Jazów, zniszczonych przez wojnę, że pan Krośniański (czy jak tam) ma pyszną stadninę, i że ją prawdopodobnie pełna krew o ludzkich oczach pogodzi... z pół krwią o końskiej szczęce.

— Czy on to, jej jedyny przyjaciel, zrozumie?

Odpisał, że nie zrozumie i nie daruje, i błaga, i zaklina, żeby się jeszcze zastanowiła, bo sprzedać się komuś — łatwo, ale o d k u p i ć — trudniej.

Na to dostał express-poleconym nader zimny i wzgardliwy list, zionący zemstą i zapachem „N'aimez-que moi!“.

Obrażona duma kobieca chodziła w tem piśmie wzdłuż i wszerz wierszy, skreślonych najarystokratyczniejszym gotykiem. Z wysokich liter bił rozmyślny chłód. Było parę okresów wyraźnie klepiących go po ramieniu, jeden myślник, równający się pszytkowi w nos, jedna kropka, energiczna, jak tupnięcie podczas assaut — (tylko mniej rycerska!) — i post-scriptum wreszcie, nieodłączne, tak wystylizowane:

„Pewna kategoria przyjaciół - troglodytów uzurpuje sobie prawo mówienia nam obelg nagłos, mniemając, że przewyższa w ten sposób galeryjkę, mówiącą nam obelgi pod nosem. Z dwojga złego, wybieram ostatnich, jako, malgré tout, lepiej wychowanych. A przyjaciół-weredyków, z ich problematycznym wdziękiem, odstawiam bez skrupułów na boczny tor“.

Chciał przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, ale ją przechorował.

*

Życie bywa podobne do gry w baka i miewa wyraźne passe'y. Nasz bohater doświadczał tego często na sobie i na swoich znajomych, ale bodaj że na sobie najczęściej.

Feralny tydzień minął — i raptem wszystko odmieniło się, jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej!

W przeddzień owego 1-go, który, jak się zdało, miał być dla nieszczęśliwego dniem Sedanu — przyszło z P. K. O. zawiadomienie, że niejaki pan Wierzba wpłacił na bieżący rachunek naszego bohatera okrągłą sumkę 10.000 złotych.

Rzecz była nie do pojęcia, a jednak prawdziwa!

Owemu panu Wierzbie zaprojektował nasz in-

żynier w swoim czasie jakąś elektrownię, czy coś podobnego — i czekał dwa lata, jak obszył, na umówione honorarjum. Honorarjum nie nadchodziło. Pan Wierzba zato, wybitny nuworysz, kilka razy w tym czasie bankrutował, kilka razy wyjeżdżał zagranicę po holendry, raz się palił, raz się z kimś strzelał, sto razy ludzi zarywał i z zaszady, jak się zdawało, długów nie płacił.

A teraz oto — zapłacił!

Niewiadomo, czy go sumienie ruszyło? Czy za ostatnią bytnością na Rywjerze rzeczywiście zerwał bank? Czy miał do specjalisty jakiś interes i chciał wielki młyn budować, albo zgłębić elektrownię — i wołał, na wszelki wypadek, poprawić sobie reputację?

Dość, że te 10.000 złotych było nie piękną bajką, ani fikcją, tylko namacalną, szeleszczącą rzeczywistością, którą uradowane ręce podjęły niezwłocznie z trezorów P. K. O., aby ją następnie, w trybie przyspieszonym, odstawić do trezorów stęsknionego „Północno - Południowego Banku“, które przysparzały gotóweczkę dziwnie skwapliwie. Był najwyższy czas: do 2-ej brakowało już tylko 5-ciu minut. Okienko kasy Nr. 3 pocierało łysinę i zerknęło na zegarek...

To był jednak dopiero „start“, bo bieg rozpoczął się w najlepsze dokładnie w 12 godzin potem.

Inżynier nasz popijał czarną kawę w restauracji i uśmiechał się właśnie do swoich figlarnych myśli (te myśli miały taki rysunek: „Mimo wszystko, Roederer smakuje lepiej od wody Ostromeckiej), gdy milusio uśmiechnięty chłopiec hotelowy skłonił się przed stolikiem i podał na małej, platerowanej tacce — list.

— Od kogo?

— Jedna pani, proszę Jaśnie Pana. Dopiero co odjechała.

— Nic ci nie powiedziała?

— Nie, proszę Jaśnie Pana. Kazała tylko list oddać.

— A skąd wiesz, że ja — to jestem ja?

— A bo ta pani pokazała mi Jaśnie Pana z hallu, przez szybę.

— Dobrze... Masz za fatygę.

— Dziękuję!

Nieznany charakter pisma i obcy kształt koperty nie nie mówił, więc bohater nasz otworzył kopertę, zlekka zaintrygowany. Bilecik był krótki:

„Tak mi strasznie wstyd mojego ostatniego, niemądrego i niegodziwego listu do Pana, że nawet nie śmiałam adresować sama, tylko kazałam to zrobić mojej przyjaciółce, bojąc się, że Pan inaczej mój list, nie czytając, podarłby na strzępy! Jestem winna, winna, winna! Nie wychodzę z a m ą ż! Pan miał rację. Małżeństwo — to jest jednak coś więcej nad przyjemność konnej jazdy! Jeżeli jeszcze jakaś ekspiacja może naprawić krzywdę, którą Panu wyrządziłam, gotowa jestem zrobić wszystko, co będzie w mej mocy, żeby Pana przeprosić! Dziś, o godzinie 6-tej, jestem w domu sama, samiusienka. Czy nie zechciałby Pan wpaść na kawę i serdeczną pogawędkę?

Votre (—) Mary“.

Przypisek:

„Przekonałam się, że Pan jest naprawdę moim przyjacielem!“

*

Wiele razy robiono już to porównanie, ale wiosna jest naprawdę szalenie k o b i e c ą porą roku. Chłód i ciepło, nagłe zachmurzenia i jeszcze bardziej nagłe rozpromienienia — zmieniają się, jak w kalejdoskopie. Ostre powiewy od Wisły rozpluwają się nieoczekiwanie w łubem cieple. Niedobre słońce, ukryte za chmurami, robi w pewnej chwili rachunek sumienia — i wychyla się z poza

mgieł. Zmarznięte bzy zaczynają pęcznieć. Sprzedawcy szpiców i francuskich buldożków chowają do kieszeni fioletowe nosy i witają przechodniów dobrem słowem. Robi się na całym świecie wesoło. Serca tają...

Inżynier Zarzycki (zdradźmy nareszcie jego nazwisko!) szedł Krakowskiem Przedmieściem dużymi krokami, wesół jak Tunney po zwycięskim meczu z Dempseyem. Miał najmniej sto kilowatów w antenie! Gdyby nadmiar radosnej energii, krążącej w jego muskularnem ciele, mógł się jakoś uwidocznić, oglądaliby się ludzie za człowiekiem-gwiazdą! I tak zresztą oglądano się za Zarzyckim. Jakiś znajomy, uderzony promienną miną naszego bohatera, aż przystanął.

— Co się inżynierowi stało? Wygląda pan jak młody centaur!

— Wiosna, drogi panie!

— Wygrał pan na loterji?

— Jeszcze nie, ale na pewno wygram!

— Zakochała się w panu jakaś ładna kobieta?

— Kto to wie? Może być, że się zakochała?!

— Kocha się pan?

— Być może!

— Dostał pan spadek?

— Powinieniem dostać!

— Wyjeżdża pan zagranicę?

— Prawdopodobnie!

— Niech pana kule biją! Co za werwa! Pozwól-że pan bodaj dotknąć swojego rękawa: może i mnie się udzieli trochę pańskiego humoru?

— Na pewno!

Na Nowym Świecie spotkał Zarzycki oddział wojska, maszerujący dziwnie dziarsko. Przystanął na chwilkę koło przystanku tramwajowego, żeby się przyjrzeć zuchom — i rozpromienił się, jak dziecko, gdy od czoła kolumny dobiegły go znieńacka jędrne, soczyste tony marsza.

— Morowe chłopaki!

Poczuł się strasznie szczęśliwym — i strasznie polakiem.

— Niech żyje armja!

Warszawa była snadź dnia tego szczególnie hojna, bo w tej samej chwili zdarzyło się coś, co wionęło jak promień po ludzkich twarzach, a w szeregach maszerujących — wywołało nieopisaną wesołość.

Młoda panienka, stojąca na przeciwległym rogu, sprzykrzywszy sobie czekanie, opuściła rezolutnie chodnik i pobiegła wpoprzek jezdni, torując sobie drogę między żołnierzami. Nie obli-

czyła jednak, nieboraczka, tempa i zamaszystości żołnierskiego kroku. Zaplątała się na środku ulicy, zażenowała, stropiła, zmieszała — i ugrzęzła w stąpającej kolumnie hełmów i płaszców. Zrobiło się nawet małe zamieszanie, bo żołnierze, trochę naprzekór, pociągnęli ją ze sobą. Zawadjacki kapelusik mignął raz tu, raz tam. — Panienska odbiła się od jednego szeregu, wpadła w drugi — trzeci — aż wreszcie, zdyszana, czerwona, ale strasznie roześmiana — wylądowała obok Zarzyckiego. Przechodzący koło nich podporucznik zasalutował żartobliwie:

— Możeby pani z nami pomaszerowała do Jabłonny?...

*

Na znanych, zbyt dobrze znanych schodach, czerwienił się dywan, który niegdyś wydał się był Zarzyckiemu nieznośnym: dziś — wydał się mu uroczym! Mały krążek dzwonka, na 2-em piętrze, błyszczał jak złoto. Przez lichutki witrażyk (dziwnie piękny!) były promienie zachodzącego słońca, złote i szkarłatne...

Zadzwonił.

Półmrok przedpokoju ukrył rumieniec, jeżeli tam wogóle był jakiś rumieniec; w każdym razie,

znalazłszy się z nią w buduarze, skonstatował, że jest zaróżowiona.

— Szalenie się cieszę, że pana widzę!

— A cóż dopiero ja, pani Mary!

— Dostał pan mój list?

— Oczywiście!

— Boże, jaka ja jestem niemądra! Przecież inaczej nie byłoby tu pana... — Kawy?

— Dziękuję.

— Dziękuję — dziękuję, czy dziękuję — proszę?

— Dziękuję — proszę!

— Zaraz panu dam kawy. Powinna być doskonała.

— Pani Mary, błagam! Wpierw — proszę mi dać siebie!

— O? Jak mam to rozumieć???

— Zwyczajnie! Stęskniłem się za panią! Chcę się napatrzeć na panią! Proszę usiąść i pozwolić mi pogapić się na siebie! Tylko sekundę!

— Siedzę.

— Wygląda pani uroczo!

— Naprawdę?

— Naprawdę! Odrobinę pani utyla...

— Panie, to źle!

— Przeciwnie, dobrze. Po karnawale wyglądała pani, jak pastelik.

— A teraz?

— Teraz wygląda pani, jak... jak poemat!

— Więc ostatecznie: obraz — czy książka?

— Ani jedno, ani drugie: w i o s n a!

— !

— Pani Mary! Dobrze jest żyć na świecie!

Prawda?

— Dobrze!

Zerwała się z błyszczącymi oczyma. Była podniecona.

— Wie pan — ?

— ?

— Żeby nie pański list, byłabym wyszła za tego Krośniańskiego!

Poczuł w sercu przypływ wielkiego ciepła.

Ujął ją za rękę.

— Nie gniewa się pani za ostry ton listu?

— Przeciwnie! Błogosławię go!

— A Krośniańskiego pani nie kochała naprawdę?

— Ani — ani.

— Więc się dobrze stało.

— Znakomicie! — Niech pan zaczeka, naleję panu kawy.

- Jeszcze chwileczkę! — Pani Mary —
— Co?
— Właściwie, dlaczego pani jest taka rozpromieniona?
— A... bo wiosna.
— Tylko dlatego?
— Nie, nietylko.
— ?
— Bo pana strasznie lubię!
— Naprawdę?
— Naprawdę!
— To czemu pani głowę odwraca?
— Ja? Ani mi się śni...
— Odwraca pani...
— Zdaje się panu... — Kawa wystygnie!
— Nie, nie wystygnie! Pani Mary!
— No, co — ?
— Chciałem się panią o coś zapytać...
— Proszę, niech pan pyta...
— Czy pani wie, że — — —

*

Księżyc, najznakomitszy z reżyserów, oświecił tego wieczora jeszcze jedną scenę miłosną...

Piękna to musiała być scena, bo stary praktyk długo celował drżącym swym Jupiterem

w okna 2-go piętra — i długo kąpał to okno
w zielonkawej, cudnej poświacie...

A kiedy uczyniła się głucha noc — i kiedy
od pobliskiego ogrodu powiał lekki wiatr, niosący
oszałamiającą, wonną zapowiedź kwitnienia bzów
— pocałunki mężczyzny i kobiety wyrwały się
z kart scenarjusza — i wionęły w świat, wiosną pi-
jany — w radosny zamęt — nad którym podno-
siła się coraz srebniejsza, coraz większa, coraz
piękniejsza — T a r c z a K o c h a n k ó w.



TREŚĆ:

Nerwy	5
Her master's voice'	25
Serce Serafiny Coeur	49
Coctail party	61
Początkująca autorka	73
Klamka zapadła	83
Nowela Nr. 1241	103
Roslan wśród dam	113
Romans	133
W latarni	145
Radość	167

120-



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000229758



I 447876